Nr. 105. Lwów — Środa dnia 8 Maja. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — „ w innych Państwach . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 3 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 hal.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o narzeczeństwach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, ... po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i prenumeratę przyjmuje wyłącznie: Ajencya dziennika ... we Lwowie, Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: ...

Dziś: Śr. | św. Stanisława | Marka Ew.
Jutro: Cz. | Wniebowstąpienie P. | Bazylego

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 4 min. 1
Zachód „ „ 6 „ 41

Długość dnia godzin 14 min. 41
Przybyło dnia od wczoraj 3 min.

Katony hakaty.

Od wieków, od powstania krzyżaków znana jest ich dwulicowość. Na niej oni, jak na drożdżach, urośli, ją też obrali sobie za mistrzynię życia. Niedawno w sejmie pruskim uchwalili wezwanie do rządu, aby koniecznie opracował ustawę wyjątkową o pośpiesznem wywłaszczeniu Polaków z ziemi, a jednocześnie sami w Wielkopolsce bronią swego prawa sprzedawania nam swych folwarków, oczywiście za bardzo drogie pieniądze. Zarząd szkolny berliński wystosował do nauczycieli okólnik, w którym ostrzega przeciw karaniu dzieci chłostą lub klapsami po rękach, albowiem — jak powiedziano w okólniku — „od surowych kar, od chłosty, dzieci tracą zdolności umysłowe, nabywają zaś neurastenii, melancholii, bezsenności i stają się tak przeczulonemi, iż nieraz popełniają samobójstwo. Były wypadki, że dziecko karane często uderzeniami linią po dłoni, stawało się później niezdolnem do pracy ręcznej. Nauczyciel powinien panować nad sobą, nigdy się nie unosić, być zawsze łagodnym i wyrozumiałym, a zawsze uwzględniać indywidualność dziecka“. Tak mądrze powiedziano w berlińskim okólniku, a chwaląc go, tamtejsze dzienniki powiadają, że przecież i psy można doskonale wytresować tylko łagodnymi sposobami, nigdy zaś biciem. Więc Prusacy dobrze wiedzą, jak trzeba postępować z dziećmi, a jednak w Poznańskiem świst rózg rozlega się nieprzerwanie we wszystkich szkołach, kiedy zaś teraz na wiecu w Cekcynie podniósł p. Byndowski szkodliwość takiej pedagogii, skazano go za to na 300 marek grzywny. Zdarzyło się zaś jeszcze coś gorszego. Oto w Starogardzie dowiedział się niejaki p. Drost, że jego chłopca w szkole sieką tak nielitościwie, iż na ulicy słychać jęki dziecka. Z krzykiem: „Za co? za co?“ wbiegł p. Drost do szkoły, stanął w progu i drżącym głosem zapytał: „Panie, a gdzież litość? gdzie ludzkość?“ Nauczyciel oskarżył go o naruszenie porządku domowego w szkole i o zniewagę, a sąd skazał Drosta na miesiąc aresztu.

Przykłady takiej dwoistości w postępowaniu są niezliczone. Niepodobna wszystkich wyliczyć. Ale o jednym nader ciekawym procesie, który odbył się teraz w Pile, musimy wspomnieć. P. Ritter von Klövekorn, właściciel folwarku Schönwerder, odgrywał w Poznańskiem wybitną rolę patryoty pruskiego, był członkiem „Ostmarkenvereinu“, miał jakiś honorowy urząd w zarządzie hakaty i na wszystkich zgromadzeniach stale się domagał wypędzenia Polaków. Znany był z tego i poważany. Lecz finansowe jego interesa były fatalne; już dwa razy wystawiono go na licytacyę; kilka rat nie zapłacił w landszafcie, komisya kolonizacyjna nie kupiła jego folwarku, bo innym, możniejszym odeń, musiała wyświadczyć tę grzeczność. On tedy udał się do znanego polskiego bankiera p. Biedermanna z prośbą, aby nabył odeń folwark, jednakże tak, żeby wyglądało, że tę ziemię kupił Niemiec, bo panu von Klövekornowi komisya kolonizacyjna przyrzekła bardzo tanio wydzierżawić domenę, ale pod warunkiem, że on swoją wieś sprzeda tylko Niemcowi. P. Biedermann, który od lat 20-tu już przeszło tysiące morgów ziemi nabył w ten sposób od Niemców, a sprzedał Polakom, ma oczywiście agentów, którymi w takich razach się posługuje. Jednym z nich jest p. von Riesen z Wrocławia. Jemu tedy polecił nabyć Schönwerder, a w parę dni potem przeniósł tę wieś na swe imię. Komisya kolonizacyjna oświadczyła p. von Klövekornowi, że nię wydzierżawi mu domeny za sprzedaż wsi podstawionemu przez Polaka Niemcowi, chyba że on przed sądem udowodni, że go oszukano.

P. Klövekorn wytoczył tedy proces Biedermannowi i Riesenowi przed trybunałem w Pile, a do skargi przyłączył się prokurator, czyniąc p. Biedermannowi zarzut, że stale używa niesumiennych Niemców do wydzierania ziemi z rąk niemieckich, a v. Riesenowi, że tak „podłymi sposobami“ zarabia na życie. Prasa hakatystyczna zapowiadała proces bardzo sensacyjny. Artykuły jej były podawane pod tytułami: „Der polnische Agitator“, „Die Machinationen polnischer Gütermakler vor Gericht“, „Biedermannerei“ i t. d. Prokurator w swej mowie surowo potępiał używanie podstawionych agentów, powiedział, że to jest oszustwo, sprawa kryminalna i t. d. Von Riesen przyznał się do tego, że jest agentem banku Biedermanna, lecz nie widzi w tem nic złego, bo polityką się nie zajmuje i cele rządu wcale go nie obchodzą, a p. Klövekorna nie oszukiwał, bo mu odrazu powiedział, iż przybył z polecenia Biedermanna. Następnie przesłuchano samego Biedermanna, który udowodnił świadkami, iż sam Klövekorn prosił go o kupno wsi przez podstawionego Niemca, bo on nie chce się narażać na głupie krzyki niemieckich gazet. Zaraz po sprzedaży wsi p. Klövekorn zaprosił Biedermanna na śniadanie, a potem woził go swym automobilem. Było to w parę godzin po podpisaniu kontraktu z von Riesenem, a pieniądze otrzymał Klövekorn w banku Biedermanna. Wszystko to potwierdzili świadkowie, więc obu podsądnych trybunał uwolnił.

Ale p. Biedermann, broniąc się od prokuratorskiego zarzutu, że używanie podstawionych agentów jest oszustwem i sprawą kryminalną, podał takie fakta: wyższy radzca regencyjny Angern i radzca komisyi kolonizacyjnej Koernbach przebierają się to za chłopów, to za mieszczan, udają Polaków i jeżdżą po wsiach, namawiając polskich włościan, aby sprzedawali ziemię ich krewnym, a ci krewni przedstawiają się bądź jako Polacy, bądź jako Niemcy, ale bardzo kochający Polaków. Tak oszukano wielu polskich chłopów, którzy potem dopiero się dowiedzieli, że sprzedali ziemię komisyi kolonizacyjnej i byli w rozpaczy, chcieli się procesować, lecz landraci zagrozili im zemstą. Jako świadków wezwał p. Biedermann kilku polskich chłopów, których tak oszukano — wezwał także owych urzędników, ale prokurator zakazał im zeznawać o sprawach należących do tajemnicy urzędowej. P. Biedermann zapytał prokuratora, czy wciąż utrzymuje, że używanie podstawionych agentów jest sprawą kryminalną? — a ten krzyknął: „To do pana nie należy!“ P. Biedermann z uśmiechem zapytał: „Może mam złożyć dowody, że bardzo wielu członków hakaty prosiło mię poufnie o kupno ich dóbr, ale tak, żeby wyglądało, iż przeszły one w ręce, jeżeli już nie prawdziwych Niemców, to przynajmniej takich osób, które noszą niemieckie nazwiska? Może mam udowodnić, że komisya kolonizacyjna ma podstawionych agentów nietylko w kraju, ale także za granicą, naprzykład w Krakowie i Paryżu? P. prokuratorze! Czy chce pan, abym mu listami udowodnił, że ja nie potrzebuję oszukiwać hakatystów nawet najbardziej hakatystycznych, bo gdybym miał dość pieniędzy, to mógłbym wszystkich ich wykupić? Mogę się obejść bez praktyk komisyi kolonizacyjnej“.

Przebieg i rezultat procesu w Pile był klęską dla hakatyzmu, Ostmarkenvereinu i komisyi kolonizacyjnej. Chciano go wyzyskać dla trąbienia o polskich „machinacyach“, może dla uzasadnienia jakiejś nowej ustawy antipolskiej, a tymczasem z ust prokuratora się dowiedziano, że sprawą kryminalną jest to, co czynią członek regencyi Angern, radzca komisyi kolonizacyjnej Koernbach i inni urzędnicy; cała komisya dopuszcza się oszustw, gdyż bez nich nie kupiłaby ani jednego polskiego morga. P. Biedermanna posadzono na ławie oskarżonych, ale tamtych — nie! Zawsze podwójna moralność i sprawiedliwość, zawsze krzyżacy są dwulicowi!

Zatarg hiszpańsko-niemiecki.

Demonstracye antiniemieckie powstały nagle w całej Hiszpanii, a są tak burzliwe, jak owe przed kilkunastu laty, kiedy ówczesny król Alfons XII włożył, będąc w Berlinie, mundur pruskiego pułkownika. Krótko przedtem rozeszła się była wtenczas wiadomość, że Niemcy chcą zagarnąć jedną z hiszpańskich kolonij. Ludność się oburzyła, ogłoszono bojkot towarów niemieckich, demonstrowano przeciw Niemcom tak namiętnie, że dla załagodzenia tej sprawy pojechał Alfons XII do Berlina i tem tak się naraził Hiszpanom, że mniemano, iż się zacznie karlistowska ruchawka. Rzeczywiście też don-Carlos wydał był wówczas proklamacyę do narodu, ale Papież Leon XIII zażegnał wybuch powstania poleceniem, aby duchowieństwo działało uspokajająco. Wzburzenie powoli przeminęło, lecz została niechęć, która trwa dotąd, bo ją podniecilo zachowanie się Niemiec w sprawie marokańskiej. Odtąd też lada co wywołuje w Hiszpanii demonstracye antiniemieckie, a są one zawsze bardzo burzliwe, bo tamtejsi socyaliści, anarchiści i republikanie z reguły wyzyskują każde podniecenie, dolewają oliwy do ognia, aby rozruchami wytworzyć ferment rewolucyjny i przyzwyczaić ludność po przewrotu. Wobec tego rząd nie krępuje uczuć patryotycznych. lubo one są rozdmuchiwane sztucznie i na szkodę istniejącemu porządkowi rzeczy. Tak też jest teraz. Demonstracye powstały z następującego powodu:

Niemieckie wojsko wpadło z Kamerunu w Afryce do sąsiedniej kolonii hiszpańskiej, obsadziło nadgraniczne wioski, wyłapało 18-tu murzynów, zbiegłych z Kamerunu i odesłało ich swemu gubernatorowi, który kazał ich powiesić, samo zaś rozłożyło się obozem. Wkrótce potem hiszpański naczelnik tej miejscowości, dowiedziawszy się o niemieckim napadzie, zebrał garstkę swoich żołnierzy, powołał pod broń miejscowych murzynów, i poszedł wypędzić Niemców. Ci jednak ustąpić nie chcieli, dowodząc, że są na własnem terytoryum. Ale był to tylko ich wykręt. Nie mogli oni naprawdę mniemać, że się znajdują jeszcze w Kamerunie, bo w tem miejscu tworzy granicę szeroka rzeka Campo, którą oni właśnie przekroczyli. Od słowa do słowa, dowódzcy się pokłócili. Niemieckie trąbki zagrały do boju, zaczęła się utarczka, w której po obu stronach padło po kilkunastu murzynów, nadto zaś polegli dwaj Hiszpanie, poczem Niemcy posunęli się jeszcze dalej w głąb hiszpańskiej kolonii i natrafiwszy na faktoryę, zniszczyli ją, a chorągiew hiszpańską zdjęli z budynku i wrzucili do błota. Dopiero po tylu czynach waleczności wrócili do Kamerunu, śpiewając „Heil dir“ itd.

Wszystko to się stało jeszcze w marcu, więc nie może być, żeby dotychczas nic o tem nie wiedział rząd madrycki. Dlaczegóż zatem milczał? dlaczego nietylko pozwolił Niemcom gospodarować na hiszpańskiej ziemi, ale nawet puścił płazem zniewagę, wyrządzoną hiszpańskiej chorągwi? Barceloński dziennik *Las Noticias* pisze: „Sami Niemcy oczekiwali zasłużonej kary, więc posunęli swe wojska do granicy i broń rozdali zaufanym szczepom murzyńskim, ale napróżno się obawiali odwetu“.

W tej opowieści zapewne dużo jest przesady, bo nie może być, żeby taki wybryk mógł ujść Niemcom bezkarnie. Z pewnością z Berlina przysłanoby do Madrytu przeproszenie. Stałoby to się nawet wtedy, gdyby sam dyrektor urzędu kolonialnego Dernburg polecił Kameruńczykom wykonać ów napad. Pewnie tedy była jakaś drobnostka, którą już załatwiły miejscowe władze.

Ale tymczasem demonstracye są. Komu one zaszkodzą, kiedy już dawno podał się do dymisyi gabinet, który urzędował w marcu? Widocznie wywrotowcom chodzi tylko o mącenie wody.

Korespondencye.

Wiedeń 6 maja.

(Pojawienie się Dra Luegera w radzie miejskiej. Jego choroba oczu. Doniosły projekt. Praca dzieci w kopalniach. Ślub byłego prezydenta Izby poselskiej hr. Vettera.

(y). Na onegdajsze posiedzenie rady miejskiej przybył burmistrz Dr. Lueger, podziękował radnym za udzielenie mu urlopu i za tyle objawów sympatyi i życzliwości, jakich doznawał od nich podczas swej siedmiomiesięcznej choroby, a zarazem zapowiedział, że o ile to tylko możliwe, będzie zajmował się gorliwio sprawami miejskiemi, tylko na posiedzeniach rady miejskiej przewodniczyć jeszcze nie może, gdyż wzrok ma wciąż jeszcze tak osłabiony, iż ani czytać, ani pisać nie może, nie potrafi też ze swego miejsca prezydyalnego rozpoznać radnych siedzących w sali, a przewodniczący musi widzieć dobrze wszystko, co się dzieje w sali, by mógł w danym razie w porę interweniować. Gdy burmistrz skończył tę przemowę, zapalono światła elektryczne w sali, a Dr. Lueger zerwał się czemprędzej i rzekł: „Oto jeszcze jeden powód, dla którego muszę czemprędzej stąd uciekać. Oczy moje nie znoszą tego wspaniałego światła, nie chcąc więc oślepnąć, odchodzę i proszę mego kochanego kolegę, wiceburmistrza Dra Neumayera, ażeby zechciał wyręczyć mnie w przewodnictwie. Do widzenia więc moi panowie“. To rzekłszy wyszedł pośpiesznie z sali, żegnany serdecznie przez radnych.

Wszyscy naturalnie interesują się żywo pytaniem, czy Dr. Lueger odzyska siłę wzroku o tyle, by módz dalej w całej pełni sprawować swój urząd. Lekarze podobno są zdania, że to jest możliwe i że w miarę jak cały organizm chorego nabierze dawnej siły, wzmocnią się także nerwy oczne. Kuracyą Dr. Luegera dzielą się obecnie profesorowie Neusser i Bergemeister. Ten ostatni zajmuje się tylko oczyma chorego, Dr. Neusser zaś jest głównym ordynaryuszem i on to właściwie uratował Dra Luegera od śmierci.

Co się tyczy powodów, które skłoniły Dra Luegera do przerwania kuracyi w Lowranie i do tak rychłego powrotu do Wiednia, to opowiadają sobie poufnie, że oprócz nostalgii były tu w grze także bardzo ważne motywy polityczne. Dr. Lueger propaguje bowiem gorąco myśl porozumienia się wszystkich stronnictw niemieckich co do solidarnego postępowania przy wyborach ściślejszych, jakie w bardzo wielu okręgach muszą się odbyć. Zwłaszcza w Czechach prawdopodobnie więcej niż połowa mandatów w okręgach niemieckich zostanie definitywnie obsadzona dopiero w ściślejszym wyborze. Owóż zachodzi obawa, że jeżeli stronnictwa niemieckie będą szły luzem, to korzyść z tego odniosą tylko socyaliści, którzy i tak przechwalają się głośno, że przynajmniej sześćdziesięciu swoich posłów wprowadzą do parlamentu. Dotychczas panuje w obozie niemieckim kompletny chaos, a w Czechach zanosi się na zażartą walkę w okręgach niemieckich między niemieckiem stronnictwem ludowem, postępowcami, niemieckimi agraryuszami, antysemitami, tudzież wszechniemcami z pod sztandaru Schonerera i z pod sztandaru Wolffa. Dr. Lueger pragnąłby tedy doprowadzić do pewnego rodzaju kartelu wyborczego między stronnictwami niemieckiemi, a mianowicie do tego rodzaju porozumienia, że przy pierwszym wyborze każdy wyborca niemiecki ma zupełną swobodę głosowania, ale jeżeli przyjdzie do ściślejszego wyboru między socyalistą a kandydatem, któregokolwiek ze stronnictw, objętych pojęciem „bürgerliche Parteien“, to obowiązkiem każdego Niemca jest bezwarunkowo głosować na kontrkandydata socyalisty. Taką umowę zawarły stronnictwa w cesarstwie niemieckiem przed ostatniemi wyborami do parlamentu i wiadomo, jaką klęskę przez to zadały socyalistom. Owóż i Dr. Lueger pracować ma nad takiem porozumieniem, w czem pomaga mu marszałek krajowy ks. Lichtenstein.

Rząd przygotowuje dla nowego parlamentu przedłożenie, obostrzające przepisy o zatrudnianiu dzieci w przedsiębiorstwach górniczych. Przedewszystkiem wydany ma być ogólny zakaz zatrudniania młodocianych robotników w kopalniach w porze nocnej, od godziny 8 wieczorem do 5 rano. Nadto zabronionem będzie używać chłopców przed ukończonym szesnastym rokiem życia, a dziewcząt przed ukończonym rokiem ośmnastym do robót połączonych z jakiemkolwiek niebezpieczeństwem, do pompowania wody i do robót w niskiej temperaturze.

W tutejszym kościele św. Piotra koło Grabenu odbył się onegdaj ślub byłego prezydenta izby poselskiej, tajnego radcy Maurycego hr. Vettera z baronówną Maryą Teresą Gudenus, córką tajnego radcy Józefa br. Gudenusa. Hr. Vetter żeni się stosunkowo późno, ma bowiem lat pięćdziesiąt kilka. Z amatorstwa zajmował się on studyami medycznemi i przed kilkunastu dniami zdał na wszechnicy tutejszej drugie rygorozum lekarskie. Przytem jest pozasłużbowym rotmistrzem ułanów.

Z Akademii umiejętności.

Kraków, 7 maja.

Doroczne uroczyste posiedzenie Akademii Umiejętności odbyło się dzisiaj w południe. W wielkiej sali na estradzie zajął miejsce dr. Julian Dunajewski; obok niego prezes JE. Stanisław hr. Tarnowski, jeneralny sekretarz prof. dr. Bolesław Ulanowski i tegoroczny prelegent prof. Leon Marchlewski. Naokoło estrady zasiedli członkowie Akademii tak miejscowi, jak przybyli z Królestwa polskiego, ze Lwowa i z Wiednia. Posiedzenie zagaił dr. Julian Dunajewski, po nim przemawiał prezes Stanisław hr. Tarnowski, poczem zabrał głos jeneralny sekretarz prof. Ulanowski i złożył sprawozdanie z czynności Akademii w roku ubiegłym. Na wstępie poświęcił żałobne wspomnienie członkom Akademii śp. Włodzimierzowi Spasowiczowi, Julianowi Klaczce, Aleksandrowi Wiesiołowskiemu, Maryanowi Drinowowi, Hieronimowi Łopacińskiemu, Albertowi Sorelowi, Franciszkowi Piekosińskiemu i Aleksandrowi Rembowskiemu. Dalej zdał sprawę z prac naukowych, dokonanych w ubiegłym roku w łonie Akademii, poczem przeszedł mówca do funduszów Akademii i legatów. Potem zaznaczył, że wchodzi nareszcie w życie Towarzystwo popierania wydawnictw Akademii. Prócz złożonej pierwotnie przez hr. Władysława Branickiego i mecenasa Antoniego Osuchowskiego kwoty wynoszącej obecnie około 74.000 kor., przybyło nadto 4.200 kor. tytułem wkładek członków, którzy się do tego Towarzystwa zapisali.

Prace Akademii rozrosły się do tego stopnia, zbiory biblioteczne, oraz komisyi fizyograficznej i Muzeum antropologicznego tak bardzo z dniem każdym rosną, że szczupłość obecnego gmachu Akademii coraz bardziej daje się odczuwać i dlatego w najbliższym czasie musi Akademia przystąpić do budowy nowego gmachu, na który brak jej dotąd rozporządzalnych funduszów.

Rozpatrzywszy dalsze sprawy, jeneralny sekretarz podniósł, że dochody z rozsprzedaży wydawnictw Akademii powoli, ale stale się zwiększają i to w czasie, kiedy ruch księgarski z powodu politycznych zawikłań osłabł znacznie, przedewszystkiem w Królestwie Polskiem.

Z kolei zawiadomił zgromadzonych, że na wczorajszem posiedzeniu administracyjnem wybrano członkami korespondentami JE. Kazimierza Chłędowskiego w Wiedniu i prof. Jana Łosia w Krakowie.

Do wydziału historyczno-filozoficznego wybrano na członka czynnego zakrajowego prof. Jaromira Czelakowskiego w Pradze, oraz na członków-korespondentów dra Fryderyka Papeego, dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, i jednego jeszcze uczonego, obcego poddanego, którego nazwisko ogłoszonem zostanie po nadejściu zatwierdzenia cesarskiego. — Do wydziału matematyczno-przyrodniczego wybranym został na członka czynnego krajowego prof. Antoni Wierzejski w Krakowie.

Na zakończenie prof. Leon Marchlewski odczytał pracę swoją p. t. „Chemia jako jeden z czynników nowożytnego rozwoju ekonomicznego“.

Sprawozdanie i wnioski co do nagród fundacyi ś. p. Barczewskiego.

1. Za pracę historyczną.

Wśród dorobku piśmienniczego za r. 1906 wyróżniały się już to obfitością treści, już to nakładem pracy, albo wreszcie talentem przedstawienia, następujące książki:

Majera Bałabana: Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII wieku.

---

13)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego *Karolina Dzieduszycka.*

(Ciąg dalszy).

Zdawało mu się, że ją widzi jeszcze: jakże uroczą w tym nieładzie była, którego i on część winy ponosił! On, który się zawsze z pierwszym brzaskiem dnia budził, rozkoszował się, patrząc na śpiącą... Jasne włosy rozplecione, przysłaniały prawie całą poduszkę, rozrzucając się w kapryśnych falach wokoło szyji i nawpół obnażonych ramion. Usta wilgotne, policzki lekko zarumienione... Przypominał sobie tę wypukłą, białą pierś, podnoszącą się przy oddechu. Zwyciężony tem uroczem wspomnieniem, Prosper Anatol zamknął oczy i nachylając się w stronę, gdzie go podniecona wyobraźnia ciągnęła, zrobił ruch, którym zazwyczaj budził śpiącą, młodziutką żonę. Zwykle lekkiem dmuchnięciem poruszał włosy na jej czole, potem drobne kędziorki na karku i pieścił oddechem te usta przymknięte, świeże, uśmiechnięte, to łono drgające młodością i jeszcze pod wpływem drażniącego złudzenia, widział ją jak się otrząsała, jak otwierając oczy, patrzyła nań senna; widział ją, jak się rumieniła, uśmiechała, z okrzykiem dziecinnym, a potem zawstydzona, jak go obejmowała cudnemi ramiony, jak głowę na jego piersiach kryła, twarz mu przysłaniając, bogactwem swych włosów. Ale to wszystko widział, jak we śnie. Marya zniknęła... zniknęła na zawsze!...

Pod wpływem szalonego pragnienia, Anatol odwrócił się wreszcie i niemal nie chcąc, rzucił się tam, gdzie byłby chciał znaleść kobietę. Ale kobiety już nie było; jednak kołdra, prześcieradła, cała ta część łóżka przesiąkniętą jeszcze była wonią jej ciała, wonią ciepłą, ostrą, upajającą, która go ogarnęła, jako więzy niewidoczne, w tym rozkosznym szale. Niespokojny, drżący, przycisnął do piersi poduszkę swej żony, całował ją, kąsał i szeptał:

— Boże mój! jak-że.... je-ste-e-em nie-szczę-ę-ę-śli-i-i-wy!...

X.

Tego dnia, kiedy wyjeżdżała Marya, Florencya wyglądała weselej, niż zwykle i zajaśniał śliczny wiosenny dzionek, chociaż to było jeszcze w lutym. Ale kiedy lokomotywa zasłonięta dymem, wyruszyła z pod wysokiego poddasza dworca, gdzie nieustanny gwar tłumu ludzi, tchnących życiem, żegnał podróżnych, kiedy potwór żelazny, jakby jaki nowy Mefistofel, wyrzuciwszy doniosły swój gwizd, pozdrowił

„...doliny
„*Zaludnione domami i oliwnemi gaikami*“

i pędził ziejący dymem, a potem spuszczać się zaczął z pochyłości Apenin, wtedy z raptowną szybkością młody Wschód, ciepły i pachnący, zamienił się w lodowatość starej Syberyi.

Jakież zimno i ileż śniegu!

Ten jednostajny, biały całun męczył oko i drętwił umysł. Przebiegając tę martwą i lodowatą przestrzeń, odczuwało się trwogę rozbitka na morzu.

Ani krzaczka zielonego, ani źdźbła trawy, któryby przerywał smętną jednostajność. Zdaleka domki gubiące się w polu, zamknięte nędzą i zimnem, ze ścianami jeszcze bardziej szaremi, przy blasku śniegu, wydawały się zamarłe, bez żywego ducha. Drzewa martwe, obnażone bez jednego listka, nachylając się od wichru, wyglądały na straszne, złowieszcze szkielety na rozległej pustyni. Nie było widać dalekiego nieba, ani profilu gór, ani wesołości wiosek, w około starych zamków lub nowych kościołów. Drobna wilgotna mgła zamykała horyzont i wydawało się, że lokomotywa w próżnię leci.

Lalla, biedaczka, znosiła niewygody podróży dość odważnie. Najprzód rozpaczliwie płakała, rozłączając się ze swoim tatusiem, potem na pierwszej stacyi już się śmiała, na drugiej jadła, a na trzeciej, zmęczona, usnęła.

Ale za to mis Dill mruczała i narzekała: chętnie byłaby bodaj piechotą wróciła do Florencyi i nie mogła usprawiedliwić fantazyi księżny. Miss Dill zakutana w futro, w okularach zielonych, zasłaniających jej oczy od blasku słońca, sucha, żółta, szara, wsunięta w kąt, zagrzebana stosami pledów i płaszczów, połykała swoją żółć. Nareszcie i Miss Dill także usnęła: a kiedy póżniej, o zwykłej obiadowej godzinie próżnia żołądka ją obudziła, śniło się jej właśnie, że to ona była panią, a Marya nauczycielką, że dawała folgę swej irytacyi i bez miłosierdzia ją maltretowała.

Marya nie spała ani chwili, przez całą długą drogę. Nieruchoma, ze spuszczoną głową, wpatrzona w okno wagonu, była myślami pochłonięta. Ale przedmiot, na który tak uporczywie patrzała, musiał tkwić w jej umyśle, bo od dłuższego czasu nie ścierała chustką wilgoci, która przysłaniała okno.

Obraz drogi jej sercu, towarzyszył jej w tej ucieczce: uciekała przed przepaścią, potykając się nad jej brzegami, a mimo szybkiego biegu pociągu nie mogła w zupełności uciec. I chociaż zwyciężona, była spokojna i uśmiechnięta: walka była skończoną. Po długich dniach, po wielu bezsennych nocach, w których się łzami zalewała, nareszcie znajdowała trochę spokoju.

Z pochylonem czołem, zrezygnowana, upajała się myślą, że uczyniła to, co jej nakazywał obowiązek. Miłości, która, gorąca, w jej żyłach płynęła, czyż nie potrafiła stłumić? Człowiek, którego tak kochała, że mu poświęciła wszystko, znalazł ją przecież zimną i obojętną; uciekała przed niebezpieczeństwem i nie kryła przed mężem nic... ostatecznie świętą nie była, ale biedną kobietą: cóż więcej uczynić mogła?... Może powinna była pierś własną rozedrzeć, by z niej serce wyrwać... Nie, Bóg żyć nakazał, a teraz życie dla niej, było jej miłością. Jakże, dlaczego upierać się w nierównej walce woli, przeciwko myśli? To przywiązanie nigdy jej winy nie doradzi, nie pozostawi jej nigdy wyrzutu sumienia. Marya wychodziła zwycięsko z próby ognia, nie cierpiała upokorzenia i przygnębienia tych co upadły, ale w sumieniu swojem rosła dumą swojego zwycięstwa; więc?

A więc dlaczego walczyć jeszcze, walczyć ciągle, szarpać się dla tego co było niepodobieństwem, kiedy teraz oddalona od niebezpieczeństwa, pewna siebie, poddać się mogła, spocząć błogo, w drogich marzeniach. Ach tę godzinę spokoju, jakże wielkim zdobyła kosztem; oddała jej się też myślą i ciałem. Zamknęła oczy, skrzyżowała ręce na kolanach i jakby mistyczną zasłoną od świata oddzielona, cała się w sobie skupiła.

Zmysły jej były zwyciężone, a gdyby się kiedy obudziły, byłyby znowu i zawsze zwyciężone. Człowiek który ją opanował, był już tylko podobieństwem drogiego obrazu jej marzeń; miłość nie była ciałem i krwią, lecz myślą: Marya poetyczna, cnotliwa i czysta, wyidealizowała go sobie.

Życie jej będzie bardzo smutnem, bez wzajemnego przywiązania; zawsze daleka, zawsze sama; ale znajdzie w niem jeszcze głębokie, prawdziwe niespodziewane radości. Zapomnieć nie mogła i nie chciała, ani teraz, ani nigdy: jednak ten nowy chrzest dał jej rezygnacyę i siłę woli.

Taka miłość jedynie, winą nie była: była cnotą; nie była słabością, ale wzniosłą siłą, tajemniczem, najczystszem bóstwem; nie była już niebezpieczeństwem i męczarnią, ale ulgą i pociechą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prof. Brucknera: Dzieje języka polskiego. Ignacego Chrzanowskiego: Marcin Bielski: Antoniego Potockiego: Grottger: Ks. Ignacego Warmińskiego: Andrzej Samuel i Jan Seklucyan.

O. Stanisława Załęskiego: Jezuici w Polsce, tom V.

Książka Majera Bałabana, odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie imienia Leopolda Wawelberga przez Wydział filozoficzny Uniwersytetu lwowskiego, jest wyborną monografią o żydach lwowskich; praca oparta przeważnie na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych rzuca obfite światło na ten zbyt mało znany przedmiot. Gdybyśmy posiadali podobne monografie o żydach innych miast polskich, to ich stanowisko w naszem społeczeństwie stałoby się dopiero zrozumiałem. Usterką pracy jest to, że autor nie poruszył we wstępie początków osiedlenia żydów w Polsce i że nie dał swej książce dosyć szerokiego podkładu porównawczego.

Prof. Brückner, pisząc swe dzieje języka polskiego, zamierzył przedstawić jego rozwój od najdawniejszej dostępnej fazy aż do dzisiejszego stanu, trzymając się pomników dochowanych, przedstawiając zmiany, jakie zaszły, nie pytając o czynniki, które te zmiany wywołały; ograniczył się też prawie wyłącznie do języka literackiego. W tym zakresie wykonał autor zadanie swoje świetnie, dał ogółowi polskiemu pierwszą temu przedmiotowi poświęconą pracę popularną, obejmującą dzieje najważniejszych objawów w dziedzinie fonetyki, fleksyi, słowotwórstwa i składni, a napisaną tak przystępnie, że nawet średnio wykształcony czytelnik, z wyjątkiem może kilku ustępów o zmianach dźwiękowych, wszystkie jego wywody z pewnością zrozumie i przyswoi sobie z wielką łatwością. To jest pracy zaletą i zasługą.

Książka p. Antoniego Potockiego jest pierwszą większą monografią o Grottgerze, a raczej próbą monografii, w której najważniejsze zagadnienia są wprawdzie w części poruszone, lecz nie rozwiązane dostatecznie. Język płynny jest wielką ozdobą dzieła; na podniesienie zaszczytne zasługują także illustracye, wybornie wykonane, które nam przedstawiają bogaty szereg znanych lub zupełnie nieznanych prac wielkiego mistrza.

Wielki tom piąty w 2 częściach O. Stanisława Załęskiego podaje historyę Jezuitów od czasu ich zniesienia w r. 1773 i obraz ich dzisiejszego stanu i działalności, a kolosalne to dzieło, które jest owocem długoletnich, rozległych i gruntownych studyów autora, pomnikiem wielkiej jego pracowitości, pozostanie zaś niewątpliwie na bardzo długo ostatniem słowem i niewyczerpanem źródłem wszechstronnych informacyi w tym przedmiocie.

Z wymienionych na czele dzieł wyszczególniają się sposobem opracowania, doniosłością poruszonych problemów i nowością rezultatów książki p. Chrzanowskiego i x. Warmińskiego.

Książka p. Ignacego Chrzanowskiego o Marcinie Bielskim może być zaliczoną do najpoważniejszych i najsumienniej opracowanych monografii z zakresu historyi literatury polskiej, jakie się pojawiły w ostatnich czasach. Uderza w niej szeroki podkład wykształcenia literatury światowej, na której tle autor przedstawia działalność Bielskiego. Tło to było konieczne dla zrozumienia i wyjaśnienia postaci i twórczości pisarza, a w naszych pracach literackich brak tego porównawczego probierza i komentarza częstokroć wielkie niedostatki za sobą pociąga. Szczegółowe, umiejętne, z talentem i barwnością dokonane analizy dzieł Bielskiego są prawdziwą książki ozdobą; jego kronikę świata oświetlił autor wszechstronnie, wyznaczył jej słuszne zaszczytne i wpływowe miejsce w dziejach naszej cywilizacyi. Autor wtajemniczył nas przytem głęboko w świat pojęć niezmiernie zajmujący i średniowieczny zakres wyobrażeń społeczeństwa polskiego, w tej chwili, kiedy już na szczytach rozpościerał się humanizm; określił też bardzo trafnie znaczenie Marcina Bielskiego w literaturze polskiej i jego stosunek do Reya. Ujemnej strony możnaby dopatrzeć w pewnym braku proporcyi między tłem a główną postacią, przez co, że w porównaniu do świata, które padło na dzieło, osobistość autora nie zarysowała się dosyć wyraziście, wreszcie w pewnych, nielicznych zresztą niedokładnościach. To braki jednak niknące wobec bardzo wybitnych, wyżej zaznaczonych zalet tej książki.

Do tej samej epoki odnosi się dzieło x. dra Warmińskiego; praca ta, zarówno jak dzieło Chrzanowskiego, jubileuszem Reya wywołaną została. Dzieje reformacyi w Polsce znalazły już wielu pracowników, nie doczekały się jednak dotąd wszechstronnego przedstawienia. Przyjdzie na to czas dopiero wtedy, skoro monografie dotyczące pojedynczych reformatorów i rozprawy wyjaśniające dzieje tej epoki w różnych częściach kraju przygotują należyty grunt pod dzieło syntetyczne. Wszyscy zatem z radością i wdzięcznością przyjmujemy taki przyczynek, jakim jest książka x. dra Warmińskiego o Janie Seklucyanie; jest ona walnym krokiem naprzód w tym zakresie badania, a zarazem objawem pożądanym i pocieszającym terytoryalnej historyografii. Przynosi ona całe snopy światła dla rozjaśnienia początków reformacyi w Wielkopolsce i Prusach, rozświeca przytem znakomicie zaranie naszej literatury, zawiera wreszcie ważne przyczynki do historyi drukarń, bibliografii i rozwoju pism polskiej. Monografia ta przedstawia nam dzieje pojawienia się i losów reformacyi w Polsce, następnie na dworze księcia pruskiego: mnicha Samuela i zależnego od tamtego wpływów Seklucyana. Nie dają one prawdziwego obrazu [illegible] czasy wspomnianych osobistości, bo w części brak źródeł nie pozwalał, ani też szerokiego tła, na którem by działalność tych występowały. Autor [illegible] analiza [illegible] w znacznej mierze te braki. Bo autor przeprowadza ją z wielkim zasobem wiadomości, z dziwnie jasnym sądem krytycznym, [illegible] nowe kwestye [illegible] i szczęśliwie; tłumaczenie [illegible] testamentu, które dotąd do pracy Seklucyana [illegible] jego nazwiskiem. Negatywny ten dowód przeprowadzony [illegible]. Nowe nazwiska z pyłów zapomnienia. Prof. Bruckner, a po nim x. Warmiński, oświecili zamarłą w pamięci postać Biernata z Lublina; x. Warmiński postawił przed nami ciekawą osobistość Murzynowskiego. Badaniami swemi oświecił on dalej dzieje naszej kultury i duchowego życia w tych stronach, gdzie dziś to życie w wielkiej części lub doszczętnie zamarło, jak np. w Królewcu.

Rzecz cała pisana trzeźwo, ale żywo; zawiłe nawet wywody krytyczne czyta się z wielkiem zajęciem. Jeżeli pewne prowincyonalizmy językowe tu i ówdzie czytelnika rażą, to na szczęście pojawiają się one dosyć rzadko.

Dwie te książki przynoszą znaczny zasób dorobku dla naszej literatury, a powiedzmy, że są także zaszczytnym objawem umysłowej pracy i życia współczesnej Polski. Praca p. Chrzanowskiego, barwniejsza, opiera się zupełnie przeważnie na drukach, które autor skrzętnie wyszukał i przetrzebił; chodziło mu więcej o nowe i pełniejsze oświecenie objawów duchowego życia szesnastego wieku. X. Warmiński musiał się przedzierać i przerąbywać nieznane lub mało rozświecone dziedziny, i stanowczo wiele rzeczy odkrył i wyjaśnił. Pracę swą oparł autor na obfitym materyale rękopiśmiennym i drukach, niekiedy bardzo rzadkich. Książka więc jego jest owocem dojrzałych i poważnych studyów, a zasób pracy w nią włożony jest chlubnem świadectwem zabiegliwości autora, który niezawodnie jeszcze w przyszłości niejednym walnym przyczynkiem wzbogaci naszą literaturę historyczną.

Komitet imienia Barczewskiego miał więc przed sobą w tym roku dwie znakomite prace, a rozporządzał tylko jedną nagrodą. Po długiej rozwadze i wszechstronnych rozprawach postanowił on przyznać pierwszeństwo tej książce, której autor cięższe postawił sobie zadanie, nowym i nieznanym materyałem się posługiwał i z większemi trudnościami w przedstawieniu rzeczy zmagać się musiał. Komitet więc stawia wniosek, aby nagrodę imienia Barczewskiego za rok 1906 przyznać x. dr. Ignacemu Warmińskiemu, a dla dzieła Ignacego Chrzanowskiego zastrzedz prawo ubiegania się o nagrodę w r. 1908.

2. Za dzieło malarskie.

Na wstępie uważa komitet za swój obowiązek stwierdzić, że artystyczny nasz dorobek, o ile go z krakowskich wystaw można było poznać, był w r. 1906 stosunkowo bardzo skromny, nie tyle ze względu na liczbę, ile na jakość dzieł. Przyczyniła się do tego zapewne okoliczność, że Towarzystwo Artystów Polskich „Sztuka“ nie urządzało w ubiegłym roku wystawy w Krakowie.

W dziale rzeźby, która wprawdzie, ku wielkiemu żalowi Komitetu, o nagrodę ubiegać się nie może, a mimo to ze względu na swój szlachetny rozwój nie tylko całe społeczeństwo, ale i taką Instytucyę, jak Akademia Umiejętności żywo obchodzić musi, postanowiono podnieść chlubnie grupy zwierząt p. Jana Góralczyka, odznaczające się zwłaszcza życiem i ruchem, piękny spiżowy posążek p. Edwarda Wittiga p. t. „Sfinx“, portrety i maski p. Henryka Kuny, portret prezesa Koła polskiego w Berlinie Ks. Ferdynanda Radziwiłła, dłuta Antoniego Madeyskiego, utwór zdumiewający podobieństwem i szlachetnością obrobienia w marmurze, a przedewszystkiem dzieło tak niepospolite i monumentalne, jak grobowiec (Kenotaf) Władysława Warneńczyka tegoż artysty w katedrze na Wawelu. Tam więcej od części architektonicznej godną jest podziwu sama leżąca postać króla, niezmiernie podniosła i wykwintna w pojęciu, pełna smaku w lekko tylko zaznaczonej polichromii. W końcu podniesiono bardzo chlubnie gipsowe, nieco szkicowo traktowane, ale żywe, pełne indywidualności popiersia p. Jana Szczepkowskiego.

W zakresie dzieł malarskich uwzględniono cały szereg prac byłych uczniów ś. p. Jana Stanisławskiego, którego nazwisko łączy się tak ściśle z podniesieniem artystycznego poziomu w Akademii Sztuk Pięknych, w Towarzystwie „Sztuka“ i w ogóle w intelektualnych sferach Krakowa. Wszyscy poniżej wymienieni artyści dawno przestali pracować pod jego kierunkiem, wszyscy jednak zakosztowali jego nauk i ulegali przez jakiś czas jego wpływom. P. Stefan Filipkiewicz zwrócił się przedewszystkiem do Tatr, p. Stanisław Kamocki ku zbożowym łanom, łąkom, polom kwitnących ziemniaków, p. Józef Czajkowski wystawił obok portretów efekta śnieżne, widoki miejskie z Paryża i Krakowa, p. Henryk Uziembło — kościółki wiejskie, jesienne i zimowe krajobrazy. Wszyscy czterej młodzi malarze są to dziś coraz samodzielniejsi, naturę szczerze obserwujący artyści. Wszyscy czterej traktują krajobraz prawie szkicowo, zadawalając się nieraz zaznaczeniem nietylko kształtów, ale i barw nawet. Komitet postanowił nadto jak najgoręcej podnieść prace p. Stanisława Kuczborskiego, zwłaszcza zaś jego wysoce kolorystyczne obrazki z morza i z wybrzeża.

Osobną grupę stanowią p. Władysław Jarocki i oddawna już ceniony p. Kazimierz Sichulski. Obydwaj malują przeważnie Huculów, obydwaj jaskrawo i żywo; ale kiedy drugi z nich zaczyna popadać w brutalność i manierę, pierwszy jest szczery, niemniej silny, a pełen artystycznego poczucia i prawdy bliższy.

Wśród od niedawna występujących młodych artystów zwraca uwagę p. Mieczysław Jakimowicz rysunkami, robiącymi wrażenie akwatinty, a bardzo subtelnie modelowanymi. Pani Rychter-Janowska rozmiłowała się zwłaszcza we wnętrzach mieszkań i umie im nadać jakąś swojskość, rzeczywisty wyraz *homeu*'u: czuje się, że nie ustawiała sztucznie mebli, aby z nich stworzyć „nieporządek miły“, znać owszem, że dom jest zamieszkany oddawna, że na tych krzesłach i kanapach siadywały i siadują całe generacye.

P. Stanisław Fabiański wystawił dobrą „Noc zimową“, p. Józef Rapacki doskonałe „Wieże Maryackiego kościoła“ w tęczowej, mieniącej się od księżyca nocy.

Wśród nielicznych prac, nie będących ani pejsażem, ani portretem, postanowił Komitet wyróżnić „Czarny sztandar“ p. Samuela Hirschenberga, pełną grozy scenę pogrzebu podczas pogromów żydowskich, oraz wysoko podnieść drobne rysunkowe „Studya“ Piotra Stachiewicza.

Twórczość p. Slewińskiego, pracującego jeszcze przed kilku laty wyłącznie w Paryżu, przedstawiała cały szereg obrazów, z pomiędzy których postanowiono podnieść chlubnie kwiaty, martwe natury, widoki z Kazimierza nad Wisłą i z Zakopanego, oraz studyum kobiece. Leon Wyczółkowski dał tylko krajobrazy do swego „Tatrzańskiego albumu“, Julian Fałat „Motyw z Arco“, zdumiewający mistrzowstwem techniki akwarelowej. Teodor Aksentowicz ukazał pastelowy portret dwóch dziewczynek, którego wielki wdzięk i lekkość spotkały się z najwyższem uznaniem Komitetu.

Jacek Malczewski popisał się kilku dziełami nierównej wartości, a zwłaszcza seryą obrazów p. t. „Zatruta studnia“. Pomimo treści niezupełnie zrozumiałej, pewnego osobistego kolorytu, skłonnego chwilami do ekstremów, Komitet uznał w tym cyklu zupełnie wyjątkowe dzieło, odznaczające się wyrazistością poetycznych głów i plastyką postaci.

Bez względu na poważne zalety, niezwykłą nieraz piękność wymienionych dzieł, Komitet postanowił nie przedstawić żadnego z nich do nagrody i zastanawiał się głównie nad dwoma innemi. Uchwałą przeszłorocznego Komitetu za rok 1905 postanowiono pannie Oldze Boznańskiej zastrzedz prawo ubiegania się i na rok następny o nagrodę za „portret damy“. Wartość tego dzieła, oraz innych portretowych prac artystki były już tak szeroko omawiane i podnoszone w Rocznikach z lat 1904 i 1905, że byłoby zbytecznem do nich dzisiaj powracać. Komitet uznaje, że pannie O. Boznańskiej prędzej czy później należy się najwyższe artystyczne odznaczenie, którem Akademia Umiejętności rozporządza. Z drugiej strony jednak ukazały się w roku ubiegłym „Racławice“ Józefa Chełmońskiego, obraz może nie tak pełen technicznych zalet, jak inne wcześniejsze dzieła genialnego malarza, wystawione po części obecnie w Warszawie, mające się i w Krakowie zjawić, ale mimo to oznaczający i zwrot i odnowienie się talentu. Ujrzeliśmy przed sobą płótno pełne uczucia, w niektórych częściach znakomicie malowane, przepełnione nietylko świeżością nawpół mglistego poranka, ale i głębokiem poczuciem narodowem i religijnem, niepowszednim krajobrazowym i duchowym nastrojem. Jak te krakusy stoją dziarsko i śmiało, ile jest namaszczenia w rozmodlonym kapucynie, ile szczęśliwego poetycznego zamglenia w konnych postaciach wodza i jego sztabu, którzy się nam z bliska nie okazują, ale z wysoka czuwają ponad wojskiem!

Chełmoński zaczął od malowania mazurskich lub ukraińskich scen ludowych, potem zasłynął rozszalałymi końmi, które dla niemieckiej krytyki były nadto żywe, niepokojące swym ruchem. W Paryżu oceniono je lepiej, ale my prawie nie znamy ich, wywędrowały bowiem przeważnie do Ameryki. Po wielu latach pobytu nad Sekwaną, gdzie mu w 1889 roku najwyższe odznaczenie przyznano, wraca Chełmoński do kraju, osiada w mazowieckiej wioseczce i zaczyna przedstawiać, co widzi w koło siebie: żydów w trzęsących się bryczkach, ścigające się trójki, wieczorne zagaje o zmroku, śnieżne wodne lilie na błękitnym stawie, piaszczyste wybrzeża Wisły, dworki blaskiem księżyca oblane, przerażające smutkiem wieczory jesienne, gdzie wichura ugina stare suche topole — cały ten nasz mazurski świat w swojej jasności i tajemniczej trwodze. To wszystko stawił nam Chełmoński przed oczy, wielki poeta nikłych, zwykłych widoków, najznakomitszy może malarz polski po Matejce i Grottgerze. A jednak dano mu raz tylko nagrodę Barczewskiego. Obecnie i to w roku, który jest dla artysty do pewnego stopnia rokiem jubileuszowym, stawia go Komitet po raz drugi. Oceniając całą jego genialną działalność i twórczość tak szczerą a różnorodną, prosi o przyznanie mu odznaczenia, nawiązując tę propozycyę do wystawienia na wpół historycznego obrazu, do „Racławic“.

Ruch wyborczy.

Pod przewodnictwem marszałka powiatowego Mikołaja hr. Reya odbyło się w Pilznie zebranie delegatów wszystkich komitetów gminnych w powiecie pilzneńskim, celem ustalenia kandydatury na posła i jego zastępcy. Mowy kandydackie wygłosili: X. Szczeklik, prof. seminaryum duchownego w Tarnowie, włościanie: Tomasz Kaczka, wójt w Jodłowej i Stanisław Podraza, pisarz gminny z Łęk górnych, oraz dr. Witold Lewicki z Głobikówki.

Po zamknięciu dyskusyi poparł hr. Rey gorąco kandydaturę p. Lewickiego. Przystąpiono do głosowania. Ponieważ wzięło w niem udział 62 delegatów gmin, przeto absolutna większość wynosiła 32, z tego otrzymali: dr. Witold Lewicki z Głobikówki 37 głosów, Stanisław Podraza 10, X. Szczeklik i Tomasz Kaczka po 7 głosów. Wskutek tego wyniku głosowania komitet powiatowy uchwalił popierać solidarnie dra Witolda Lewickiego z Głobikówki na posła, a Stanisława Podrazę z Łęk górnych na zastępcę posła.

Na odbytym tymi dniami ruskim wiecu przedwyborczym w Mostach Wielkich wygłosił mowę kandydacką inżynier Kornella. Gdy kandydat wspomniał o tem, że postulat wykupna i podziału gruntów erekcyonalnych i dominikalnych nie da się przeprowadzić i przestrzegał przed różowemi nadziejami na to dobrodziejstwo przyszłego parlamentu, powstało na sali wśród włościan wielkie niezadowolenie, które przeszło w groźby, kiedy kandydat mowę swoją zakończył. Podjudzeni chłopi przez miejscowego lekarza zażądali, by p. Kornella zrzekł się kandydatury na rzecz dra Petruszewicza. I dopiero wtedy groźby i krzyki przycichły, gdy p. Kornella oświadczył, że może we właściwej chwili zrzecze się kandydatury.

Z Czerniowiec nam donoszą o bardzo sympatycznym fakcie, świadczącym o rozumie politycznym tamtejszych Polaków. Oto, wiedząc dobrze, że nigdzie nie potrafią przeprowadzić własnej kandydatury, zawarli oni kompromis z Rumunami i postanowili popierać wszędzie szczerze i energicznie kandydatów rumuńskich. Bardzo się cieszymy z tego faktu, bo jeżeli na Bukowinie najnaturalniejszy byłby sojusz Polaków z Rusinami, jako dwóch bratnich i słowiańskich narodów, to jednak ze względu, że ten sojusz proponowany niejednokrotnie przez Polaków, nigdy nie mógł być zawarty, pozostaje, drugi, równie naturalny, a dla Polaków o wiele nawet korzystniejszy: sojusz z Rumunami. Zawsze z ubolewaniem widzieliśmy, iż Polacy bukowińscy nie rozumieją pożyteczności tego sojuszu; dzisiaj, gdy go wreszcie zrozumieli, witamy go z radością i jesteśmy głęboko przekonani, że stosunki na Bukowinie ułożą się o wiele lepiej dla Polaków, jeżeli stale i wytrwale będą oni szli z Rumunami.

Stanisławów wybiera jednego posła, ale ma za to kandydatów bez liku. Kandyduje tedy dawny poseł stanisławowski, inżynier Stwiertnia; następnie inżynier Schall i adwokaci: dr. Fischler, dr. Markus Braude, dr. Seinfeld, dr. Berghoff i dr. Janowicz. Wobec takiego mnóstwa kandydatów powstały obawy, że zaczną się nadużycia wyborcze, a wskutek tego komitety, popierające tych wszystkich kandydatów wybrały wspólną komisyę, mającą obowiązek czuwać nad czystością wyborów.

Ze statystyki miasta Lwowa.

Z ogłoszonych świeżo w XI-tym roczniku *Oesterreichisches Städtebuch*, a opracowanych przez p. Tadeusza Dyszkiewicza dat statystycznych z lat 1903 i 1904 dotyczących miasta naszego, niewątpliwie interesującem będzie przytoczyć niektóre. Z końcem roku 1904 liczył Lwów stałych mieszkańców 171.957. Obwód miasta wynosił 45 kilom., a zajęta przez miasto przestrzeń 309,513.000 m²; z tego było 3,020.000 m² przestrzeni zabudowanej pod domy mieszkalne, 185.000 m² zajmowały składy drzewa, materyałów budowlanych itp., 1,569.700 m² publiczne ogrody i plantacye, 1,650.000 m² ulice i drogi, 1,155.800 kolej żelazna i tramwaje, 367,200 m² cmentarze, ogrody 4,185.000 m², prywatne zalesionej przestrzeni było 1,552.600 m², łąk, pastwisk i nieużytków 17,195.000 m², stawy 71.000 m². Z tego było własnością gminy 3,651.900 m²; na tę własność składają się ulice i drogi, plantacye i ogrody, oraz 357.200 m² gruntów zabudowanych lub wolnych, które gmina posiada w obrębie miasta. Majątki ziemskie gminy położone poza obrębem miasta wynoszą 3.967·6 hektarów, a gminne majątki fundacyjne 1,119·5 ha. W r. 1904 było we Lwowie 4695 zamieszkanych budynków, a stojących próżno (niewynajętych) 15.

W r. 1903 zawarto we Lwowie 1536 małżeństw, a 1145 zostało rozwiązanych przez śmierć jednego z małżonków; w r. 1904 zawarto 1574 małżeństw, a 1167 zostało rozwiązanych przez śmierć męża lub żony. Sądy udzieliły w r. 1903 — 4 rozwody, a 20 separacyi od stołu i łoża, zaś w r.1904 — 1 rozwód, a 25 separacyi. Według kombinacyi wieku nowożeńców przedstawiają się zawarte w r. 1904 małżeństwa następująco: mężczyzn w wieku lat 24 ożeniło się 378, w wieku powyżej lat 24 aż do 30 ożeniło się 695 mężczyzn, w wieku od 30 do 40 lat 338, zaś 106 w wieku 40 do 50 lat, 38 w wieku 50 do 60 lat, a 19 starszych ponad 60 lat. Z 24-letnich młodzieńców 99 pożeniło się z pannami niżej lat 20, 132 z osobami w wieku 20 do 24 lat, 126 z osobami w wieku od 24 do 30 lat, 17 z osobami w wieku od 30 do 40 lat, 3 z osobami w wieku od 40 do 50 lat, a jeden nawet z osobą starszą nad lat 50.

Widzimy więc, że prawie 40% 24-letnich młodzieńców pożeniło się z osobami od siebie starszemi, niektórzy z osobami znacznie starszemi, a nawet dwa razy tyle lat mającemi. Tego anormalnego stosunku w kombinacyi wieku w podobnie nawet tylko znacznym procencie nie spotykamy u mężczyzn starszych. I tak z 695 mężczyzn w wieku powyżej 24 lat aż do 30 ożeniło się 160 z pannami niżej lat 20, 223 z osobami w wieku od 20 do 24 lat, 238 z osobami w wieku od 24 do 30 lat, a 69 z osobami w wieku od 30 do 40 lat, 3 z osobami od 40 do 50 lat, 2 z osobami starszemi nad lat 50. W tej więc kategoryi nowożeńców tylko około 10% wybrało sobie żony starsze od siebie. Z 338 mężczyzn w wieku od 30 do 40 lat 32 ożeniło się z pannami niżej lat 20, 68 z osobami w wieku od 20 do 24 lat, 110 z osobami w wieku od 24 do 30 lat, 109 z osobami od 30 do 40 lat, 18 z osobami od 40 do 50 lat, jeden z osobą starszą nad 50 lat. W tej kategoryi mężczyzn zaledwo 3% ożeniło się z kobietami starszemi od siebie, a 33% z kobietami w równym z sobą wieku, reszta wybrało sobie młodsze od siebie. Ze 106 mężczyzn w wieku od lat 40 do 50 tylko 6 ożeniło się z kobietami starszemi od siebie, 22 z kobietami w równym z sobą wieku, a 78 z młodszemi; z 38 mężczyzn w wieku lat 50 do 60 czterej ożenili się z kobietami w wieku od 24 do 30 lat, 11 ożeniło się z kobietami w wieku od 30 do 40 lat, 15 z osobami od 40 do 50 lat, zaś 8 z kobietami w równym sobie wieku. Z 19 mężczyzn starszych nad lat 60 jeden ożenił się z panną niemającą 24 lat, trzej ożenili się z osobami w wieku od 24 do 30 lat, dwaj z osobami od 30 do 40 lat, 5 z osobami w wieku od 40 do 50 lat, zaś 8 pożeniło się z kobietami starszemi nad lat 50.

Z ogólnej liczby w roku 1904 we Lwowie zawartych 1574 małżeństw 1328 było zawartych pomiędzy pannami i kawalerami, 136, w których wdowiec połączył się z panną, 59, w których kawaler ożenił się z wdową, a 51, w których wdowiec pobrał się z wdową. Z tych 1574 małżeństw było 840 rzymsko-katolickich, 389 grecko-katolickich, 311 izraelickich, 32 protestanckich, 1 grecko-oryentalne, a 1 ormiańskie.

W roku 1903 zmarło we Lwowie 4078 osób, a w r. 1904—4144 osób. Z 4078 osób zmarłych w r. 1903 było dzieci poniżej lat 10—1434; z pozostałej liczby 2644 zmarłych osób starszych ponad lat 10 zmarło 825, czyli około 30% na gruźlicę, jako bezpośrednią przyczynę śmierci. Z 4144 osób zmarłych w roku 1904 było dzieci niżej lat dziesięciu 1516; z pozostałej liczby 2628 zmarłych osób w wieku wyższym nad lat 10—790, a więc około 28% zmarło na gruźlicę.

Wyznanie zmieniło we Lwowie w r. 1903 razem 81 osób; z nich 13 opuściło wyznanie rzymsko-katolickie, a 50 je przyjęło; wyznanie grecko-katolickie opuściło 26 osób, a przyjęło je 9; wyznanie grecko-oryentalne porzuciły 3 osoby, a przyjęła je 1 osoba; wyznanie ewangelickie opuściło 11 osób, a przyjęło 14; wyznanie mojżeszowe opuściło 27 osób, przyjęły je 3 osoby; jedna osoba bezwyznaniowa przyjęła wiarę katolicką, natomiast 3 zdeklarowały się jako bezwyznaniowe. Zyskało więc tylko wyznanie rzymsko-katolickie 37 osób i wyznanie protestanckie 3 osoby; natomiast wyznanie grecko-katolickie utraciło 15 osób, grecko-oryentalne 2 osoby, izraelickie 24 osób. Z tych, którzy opuścili wiarę katolicką (13 osób) przyjęło 9 osób wiarę ewangielicką, 2 przeszły na żydowską, 1 na grecko-oryentalną, a jedna zdeklarowała się jako bezwyznaniowa. Z 26 osób wyznania grecko-katolickiego, które je opuściły, 21 przyjęło obrządek rzymsko-katolicki, 2 wyznanie protestanckie, 1 obrządek ormiańsko-katolicki, a 2 zdeklarowały się jako bezwyznaniowe. Z 11 protestantów, którzy przeszli na inne wyznania, 8 przyjęło wiarę rzymsko-katolicką, 2 grecko-katolicką a 1 izraelicką. Z 27 izraelitów, którzy przyjęli chrzest, 19 przyjęło go w obrządku rzymsko-katolickim, 5 w grecko-katolickim, a 3 osoby przeszły na wyznanie protestanckie. Z 50 osób, które pozyskał we Lwowie w roku 1903 Kościół rzymsko-katolicki, 21 było grecko-katolików, 1 grecko-oryentalny, 8 protestantów, 19 izraelitów i jeden bezwyznaniowy.

W roku 1904 zmieniło we Lwowie wyznanie 102 osób. Z nich 12 opuściło wyznanie rzymsko-katolickie, a przyjęło je 77 osób; wyznanie grecko-katolickie opuściło 22 osób, a przyjęło 5; wyznanie protestanckie porzuciło 24 osób, a przyjęło 12; wyznanie izraelickie opuściło 32 osób, a przyjęły je tylko 2; grecko-oryentalne wyznanie opuściło 5 osób, nie przyjęła go żadna; 7 bezwyznaniowców przyjęło wiarę katolicką (6) i izraelicką (1), zaś 6 osób różnych wyznań zdeklarowało się jako bezwyznaniowe. Widzimy więc, że zyskała jedynie wiara rzymsko-katolicka, a mianowicie 55 osób; wszystkie inne wyznania utraciły, a mianowicie: grecko-katolickie 17 osób, protestanckie 12, izraelickie 30 osób. Z 77 osób, które przyjęły wiarę rzymsko-katolicką, 16 było greko-katolików, 3 greko-oryentalni, 23 pretestantów. 29 izraelitów, a 6 bezwyznaniowców. Grecko-katolickie wyznanie przyjął 1 rzymski-katolik, 2 greko-oryentalni, 1 protestant i 1 izraelita. Wyznanie izraelickie przyjęła 1 osoba rzymsko-katolicka i jedna bezwyznaniowa.

Utrzymywanych przez miasto szkół pospolitych było we Lwowie w r. 1902/3 — 35, zaś w r. 1903/4 — 38; dla tych szkół utrzymywało miasto w r. 1902/3 — 490 sił nauczycielskich, a w r. 1903/4 — 530 sił nauczycielskich. W r. 1902/3 uczęszczało do miejskich szkół pospolitych 15.615 dzieci, zaś do pospolitych szkół prywatnych 3.271 dzieci, razem 18.886 dzieci, podczas gdy w tym roku było we Lwowie podlegających przymusowi szkolnemu 23.076 dzieci, a więc 4.190 w wieku szkolnym nie uczęszczało do szkół. W r. 1903/4 uczęszczało do miejskich szkół pospolitych 15.853 dzieci, a do szkół pospolitych prywatnych 3.287 dzieci, razem więc 19.140, podczas gdy w roku tym było we Lwowie dzieci w wieku szkolnym 24.116; tedy 4.976 dzieci w wieku szkolnym nie uczęszczało do szkół. W roku 1903 wydała gmina na oświatę 1,844.069 koron, a w roku 1904 — 1,677.233 koron, a więc o 166.836 koron mniej, niż w r. poprzednim.

W r. 1903 skonsumował Lwów tylko dowiezionego do miasta piwa 10,875.800 litrów, a w r. 1904 — 11,149.800 l.; wina 898.600 l. w r. 1903, a 865.500 l. w r. 1904; rumu i likierów 76.500 l. w r. 1903, a 77.200 l. w r. 1904; spirytusu do picia 1,134.500 l. w r. 1903, a 1,175.600 l. w r. 1904.

Stan długów gminy wynosił w r. 1903 — 30,300.452 kor., a w roku 1904 — 30,153.130 koron.

Wypadki w Rosyi.

Łódź. Wczoraj na Bałutach znaleziono trzy trupy młodych żydów z przestrzelonemi czaszkami. Na ubraniach denatów przylepione były karteczki z napisem „bandyci“.

Warszawa. W Radziejowicach pod Mszczonowem, majątku hr. E. Krasińskiego, zapukał ktoś około godziny 11-tej wieczór do plebanii, oznajmiając, że ma pilny list do oddania. Służąca chciała list odebrać przez okno, lecz człowiek oświadczył, że musi się osobiście widzieć z x. Gdy uchyliła drzwi, do mieszkania wtargnęło 6 bandytów, którzy rzucili się na x. proboszcza, Aleksandra Łagodzińskiego, starca, mającego sześćdziesiąt kilku lat. Związali go i pokaleczyli, poczem zrabowali pieniądze i papiery wartościowe na kilka tysięcy rubli. Pieniądze były przeznaczone na odnowienie ołtarza, o czem x. ogłosił przed kilku dniami. Bandyci, dowiedziawszy się o tem, szukali przedewszystkiem tych pieniędzy, nic innego nie biorąc. Dokonawszy napadu, oddalili się, przestrzegając, żeby nikt się nie ruszył z domu przed upływem trzech godzin. Służąca jednak, pomimo to, że była silnie pobita, wyszła z domu i uderzyła na alarm w dzwon kościelny. Ludzie się zbiegli, ale już nikogo nie znaleziono. Dano o tem znać do naczelnika powiatu, ale wszystko nadaremnie. Bandyci uszli bezkarnie.

KRONIKA.

Lwów 7 maja.

Zasłabnięcie prof. Jordana. Z Krakowa donoszą, że prof. Henryk Jordan dostał wczoraj po powrocie z Wiednia silnego ataku sercowego, który wywołał znaczne osłabienie serca. Stan chorego był wczoraj wieczorem już lepszy. Jest nadzieja, że wyzdrowieje w ciągu dwóch tygodni.

Prof. Jordan jest jednym z najpożyteczniejszych i najpotrzebniejszych obywateli naszego kraju. Należy więc modły słać do Przedwiecznego, aby lekarzom udało się uratować jego zdrowie i aby nam to cenne jego życie na długie jeszcze lata zdołano zatrzymać.

Skazanie b. posła Wilka. Sąd powiatowy w Sieniawie zasądził byłego posła Wilka za kradzież papierów listowych w parlamencie wiedeńskim na 6 tygodni aresztu.

Ślub. W kościele PP. Franciszkanek we Lwowie odbył się dnia 27 kwietnia ślub panny Maryi Szwedzickiej, córki dra B. Szwedzickiego, adwokata i właściciela dóbr i Heleny z Korytków, z p. Stanisławem Gabryszewskim, synem śp. Romana i Eugenii z Ujejskich, sekretarzem sądowym w Zbarażu.

Towarzystwo wzajemnej pomocy artystów i literatów. Grono osób zebranych pewnego dnia w salonie pp. Wacławostwa Wolskich, powzięło myśl założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów i literatów, które miałoby na celu spieszyć swoim członkom z pożyczkami i zapomogami w razie choroby lub jakichś kłopotów finansowych. Postanowiono tedy zaszczytnie znanej poetce p. Maryi Kazeckiej powierzyć opracowanie statutu, a do zwołania i założenia Towarzystwa wybrano komisyę z następujących osób: Wanda Młodnicka, Ludwik Ramułt, dr. Władysław Witwicki, Stanisław Niewiadomski, Juliusz Tenner, Maryan Olszewski, Maryla Wolska, Zygmunt Wasilewski, St. Reychan, Jan Bartosiński, dr. Seweryn Berson, Marya Kazecka.

Świat literacki i artystyczny powita zapewne sympatycznie to nowe Towarzystwo.

Kandydatury demonstracyjne. Ruski narodny komitet postawił we wszystkich siedmiu wyborczych okręgach miasta Lwowa kandydaturę dra Eugeniusza Ozarkiewicza i polecił Rusinom głosować na niego. Podobnie polski komitet wyborczy w Wiedniu postawił kandydaturę dra Zygmunta Hofmokla we wszystkich okręgach wiedeńskich i zalecił Polakom oddawać na niego swoje głosy. Gdyby komitety te miały szanse przeprowadzenia swojego kandydata, to stawianie jego kandydatury uważalibyśmy za rzecz zupełnie naturalną, ale skoro najmniejszej szansy wyboru niema, to stawianie tych, tak zwanych „kandydatur demonstracyjnych“ uważamy za manewr polityczny zupełnie niedorzeczny. O wiele rozsądniej byłoby wejść w układy z którymkolwiek z komitetów najbardziej sympatycznym Rusinom we Lwowie, czy Polakom w

Wiedniu i poprzeć kandydata tego komitetu, a w zamian uzyskać poparcie w jakimś innym, lub przyrzeczenie popierania jakiejś sprawy w Radzie Państwa. Przecież być nie może, żeby dla narodnego komitetu ruskiego wszystkie lwowskie komitety wyborcze były jednakowo niesympatyczne? Między tymi komitetami jest naprzykład katolicki, który nigdy nie występował przeciw Rusinom; dlaczegóż więc nie porozumieć się z nim, nie pójść z nim ręka w rękę, zamiast tej dziecinnej demonstracyi, bo bez niej wiemy bardzo dobrze, ilu jest wyborców Rusinów we Lwowie. Mówi nam to bowiem statystyka, mówi nawet coś więcej, bo podaje nietylko ilu jest mężczyzn pełnoletnich, ale także ile jest kobiet Rusinek i ile dzieci ruskich. Takie zaś kandydatury demonstracyjne służą tylko podniecania szowinizmu narodowego i we własnym narodzie i w tym, przeciwko któremu się je stawia. A szowinizm jest tak brzydką rzeczą i tak szkodliwą, że nie powinno się nic takiego robić, co się do jego rozwoju przyczynia.

Konkurs. W fabryce tytoniu w Monasterzyskach jest do obsadzenia posada lekarza fabrycznego. Podania do 22 maja. Szczegółów tego konkursu można zasięgnąć w departamencie sanitarnym lwowskiego namiestnictwa.

Pożar w Nadwórnie. Onegdajszej nocy wybuchł w dzielnicy żydowskiej w Nadwórnie pożar i zniszczył 60 domów mieszkalnych i 7 bożnic. Namiestnictwo przeznaczyło dla pogorzelców 5000 koron.

Tragiczny koniec. Hr. Otto Waldstein, znany bardzo w Wiedniu dżentelman, bawiąc teraz w San Francisco, wyszedł któregoś dnia za miasto na spacer i począł przechadzać się po prześlicznym lasku podmiejskim. W tem zbliżyło się do niego dwóch detektywów i oświadczyło mu, że go aresztują z powodu, że jego rysopis odpowiada zupełnie rysopisowi pewnego mordercy, którego oni od długiego już czasu poszukują. Hr. Waldstein, podejrzywając zapewne, że ma do czynienia nie z reprezentantami władzy, ale z rzezimieszkami udającymi detektywów, dobył rewolweru i chciał do nich strzelić. Rozpoczęła się wskutek tego walka między nim a detektywami, w której Wiedeńczyk padł trupem. Detektywi byli bowiem święcie przekonani, że mają właśnie do czynienia z owym poszukiwanym mordercą, i że dlatego on stawiał im tak gwałtowny opór, iż jest właśnie skazanym na śmierć zbrodniarzem.

Ruch chłopski na Bukowinie. W położonych nad granicą Rumunii wsiach bukowińskich poczęły się dostrzegać pewne egzaltacye polityczne u chłopów, mołojcy zaczęli odgrażać się żydom, a gdzie niegdzie także właścicielom dóbr. Władze wysłały do najniebezpieczniejszych i najbardziej rozagitowanych wsi komisarzy, a ci oświadczyli, że wystarcza tylko pomnożyć liczbę posterunków żandarmeryi, a spokój nie będzie zakłóconym. Tak się też stało i święta minęły spokojnie.

Z teatru. Po raz ostatni w bieżącym sezonie daną będzie we środę 8 b. m. „Tosca", w której wystąpi gościnnie pani Janina Korolewicz-Wayda, znakomita — jak wiadomo — interpretatorka tytułowej partyi. Tak warunki talentu, głosu jak i zewnętrzna aparycya, składają się na doskonałą całość. Pani Janina Korolewicz-Wayda wystąpi na naszej scenie tylko raz jeden.

„Toscę" poprzedzi przegrywka do „Śpiewaków norymberskich" R. Wagnera, pod osobistem kierownictwem kapelmistrza opery A. Ribery, który tym wagnerowskim utworem, pożegna się z publicznością lwowską, dyrygując po raz ostatni w bieżącym sezonie.

Socyaliści rosyjscy, wypędzeni wczoraj z Kopenhagi do Malmöe, w Szwecyi, rozpoczęli stamtąd rokowania z rządem duńskim, żeby im pozwolił przejechać przez Danię, gdyż oni się udają do Anglii, gdzie zamierzają odbyć jakiś kongres. Podobno kongres ten wywołany został potrzebą zaniechania dalszej nierównej walki z rządem rosyjskim. Rząd duński oświadczył, że pozwoli przejechać przez Danię, ale pod warunkiem, że ani na chwilę nie zatrzymają się socyaliści rosyjscy na terytoryum duńskiem.

Niebezpieczne pogróżki. W ostatnich dniach zeszłego miesiąca odbył się we wsi Załucze (w powiecie śniatyńskim) ruski wiec przedwyborczy, pod przewodnictwem X. Dmytrasza, gr. kat. proboszcza z Załucza. Między innymi przemawiał na owym wiecu chłop Tymofij Foderuk z Załucza. Wzywał on zgromadzonych Polaków i żydów, by głosowali tylko na kandydata Rusina, mówiąc: „jak Polaky i żydy budut hołosowaty na Lacha, to budemo ich tak rizaty, jak w Rumunii żydiw rizały". Z powodu tych gróźb wniosła żandarmerya doniesienie do sądu w Śniatynie.

Handlarze złotego proszku. Jak wiadomo opiłowywanie dukatów stanowiło dawniej dość intratne zajęcie nieuczciwych złotników. Ponieważ złoto jest metalem dość miękkim, przeto monety złote ścierają się w obiegu prędzej i znaczniej, niż monety miedziane, a nawet srebrne. Wyzyskiwali to dawniej nieuczciwi złotnicy i oszuści, którzy zapomocą delikatnych pilników opiłowywali dukaty; uzyskany w ten sposób proszek, zużywali po przetopieniu na wyroby złotnicze, lub sprzedawali jako „proszek złoty", zaś opiłowane dukaty puszczali dalej w kurs. Ponieważ był to proceder zakazany i ścigany przez sądy, więc oczywiście sprzedaż takiego „złotego proszku" odbywała się potajemnie i po cenie niższej od faktycznej wartości złota. Od lat czterdziestu mniej więcej oszukańczy ten proceder wyszedł z użycia, bo przedewszystkiem banknoty zmniejszyły cyrkulacyę złota do minimum, a zresztą udoskonalone maszyny mennicze przez tzw. po niemiecku *Randprägung* t. j. napis wklęsły wyciśnięty dookoła rąbka każdej monety, uniemożliwiają opiłowywanie złotych monet, gdyż byłoby ono zbyt widoczne. Lecz wśród pospólstwa i ludzi mało inteligentnych utrzymuje się jeszcze po dziś dzień legenda o wielkich zarobkach na handlu „złotym proszkiem". Wyzyskują ją od czasu do czasu sprytni oszuści. I tak niedawno wyłapała policya w Rydze szajkę sprytnych oszustów, którzy na „złotym proszku" robili znakomite interesy. Oczywiście nie sprzedawali oni proszku z opiłowanych dukatów, ale robili w ten sposób, że do woreczka nasypywali drobniutkich opiłków mosiężnych, nie dających się na oko odróżnić od opiłków złotych, a na wierzch nasypywali nieznaczną warstewkę prawdziwych złotych opiłków. Zgłaszali się oni do złotników w najrozmaitszych miastach w całej Europie i ofiarowywali im do kupna „złoty proszek" po cenie połowie niższej od ceny złota. Gdy złotnik chciał spróbować, czy złoto jest prawdziwe, to dawali szczyptę proszku z górnej warstwy, która po stopieniu oczywiście dawała czyste złoto. Zachęcony tem złotnik kupował cały woreczek na wagę; a oszuści wziąwszy pieniądze, co rychlej się ulatniali. Szajkę tę wyłapano i aresztowano.

Świeżo jednak pojawiła się w Wiedniu nowa szajka takich samych oszustów, złożona — jak dotąd wykryto — z czterech młodych żydów, którzy umknęli z Rosyi.

Nabierali oni w Wiedniu łatwowiernych ludzi, a w sobotę zgłosili się do pewnego właściciela kawiarni, p. Banka i zaofiarowali mu do kupna złoty proszek. Pan Bank zażądał próbki. Jeden z oszustów niejaki Kren, który przyszedł doń z propozycyą, poprosił go, ażeby pofatygował się za godzinę do innej kawiarni, mianowicie do Herza na Franz-Josefs-Quai. P. Bank poszedł tam rzeczywiście w towarzystwie złotnika Beera, lecz wziął ze sobą także agenta policyjnego, który usiadł przy stoliku obok i obserwował oszustów. Kren przybył w towarzystwie jeszcze trzech oszustów, dezerterów rosyjskich: Smellera, Szyszkreda i Mirkisa. Pokazali oni Bankowi i Beerowi prawdziwy proszek złoty i ofiarowali bardzo niską cenę, mianowicie zażądali 16.000 koron za ilość złota, przedstawiającą wartość około 30.000 koron. Wtedy przystąpił do nich agent policyjny i aresztował ich. Podczas aresztowania Smeller porzucił dość duży woreczek, pełny mosiężnych opiłków. Z przeprowadzonego śledztwa okazało się, że oszuści przyjechali do Wiednia przed kilkoma dniami z Londynu i że po drodze nabyli w Lipsku w pewnej fabryce metalowych wyrobów bardzo znaczną ilość opiłków mosiężnych.

Stuletni jubileusz Słownika Lindego. W roku bieżącym upływa sto lat od chwili pojawienia się pierwszego tomu tego dzieła, będącego ożywczą krynicą, w której kilka pokoleń polskich oczyszczało i odświeżało swój język ojczysty. Jak wielkie znaczenie miała ta praca dla naszego ogółu, dowodzi najlepiej fakt, że pomimo, iż Linde był autorem kilkunastu jeszcze wartościowych dzieł i studyów, jak „O literaturze ruskiej", albo „Historyczny zarys literatury słowiańskich plemion", etc., to przecież ilekroć wspomni się nazwisko Lindego, zaraz mimowoli dodaje się: „twórca słownika polskiego". Ale bo też słownik ten był istotnie niezrównanym, pierwszym w literaturze europejskiej na taką skalę i taką metodą naukową opracowanym. Linde, pierwszy z leksykografów europejskich zastosował w słowniku metodę historyczną i porównawczą; nawet Niemcy i Francuzi zdobyli się na takie słowniki dopiero w kilkadziesiąt lat potem. Dziś może Słownik Lindego jest pod pewnym względem przestarzały, niemniej jednak dla miłośników mowy ojczystej zostanie on zawsze skarbcem pełnym prześlicznych przykładów i cytat.

Linde (Samuel Bogumił) pochodził z rodziny szwedzkiej, która przybyła do Polski z Dalekarlii, a urodził się w Toruniu w r. 1771, dnia 24 kwietnia. Ojciec wcześnie go odumarł, a pozostała rodzina popadła prawie w nędzę. Młody Samuel podczas nauk gimnazyalnych w rodzinnem mieście zarabiał na chleb powszedni, ucząc dzieci piekarza. Studya uniwersyteckie odbył w Lipsku. Pod wpływem prof. Dathego miał się poświęcić językom wschodnim, ale ostatecznie za namową i protekcyą słynnego prof. Ernestiego został profesorem języka polskiego w swojej *alma mater*. Sam Dathe poparł tę decyzyę, mówiąc do Lindego: „Prawda, że mało jest poświęcających się oryentalnym językom, i dlatego życzeniem mojem było, żebyś się waćpan im oddał; lecz daleko mniej jeszcze widzę dbających o słowiańszczyznę..." Słowa te przypominał sobie później Linde niejednokrotnie podczas wieloletniej pracy nad olbrzymim słownikiem i gdy wśród rozlicznych przeciwności ogarniało go zniechęcenie, one mu dodawały energii i utrzymywały na wytkniętej drodze.

W autobiografii swojej Linde opowiada, że zrazu wymawiał się od owej profesury, zaznaczając, iż nie zna dostatecznie języka polskiego: „tyle tylko z niego umiem, ile mi z używania potocznego w Toruniu, gdzie za moich czasów bardzo był zaniedbany, w pamięci zostało; musiałbym od pierwszych początków sam dopiero zacząć się uczyć". Uległ wszakże namowom. Gramatyka polska Monety, wypisy Vogla i słownik Troca były to jedyne książki polskie na które wówczas w Lipsku mógł się zdobyć.

„Byłem bardzo szczęśliwy, — opowiada dalej w autobiografii — gdy mi wpadły w ręce *Powrót posła* i Mikoszy opis państwa tureckiego. Wziąłem się zaraz do przełożenia tych dwóch książek na język niemiecki. Pracowałem właśnie nad pierwszą (było to w r. 1792), gdy wchodzi do mnie dwóch znakomitych Polaków, którym leżący na stoliku moim *Powrót posła* obok próbki mego przekładania natychmiast wpadł w oczy. Na zapytanie moje, czy nie jest im znany osobiście autor tak dowcipnego dzieła, usłyszałem z wielkim mojem ukontentowaniem z ust jednego odpowiedź: „Jam to pisał" — i od tej chwili, która w życiu i przedsięwzięciu mojem była stanowcza, swoją mię zaczął zaszczycać przyjaźnią znakomity nasz ziomek Niemcewicz. Wprowadzony przez niego i szanownego jego kolegę, śp. Weyssenhoffa, do domów najznakomitszych Polaków, podówczas w Lipsku przebywających: do śp. Ignacego Potockiego marszałka, do Stanisława Potockiego, sławnego wymową swoją posła lubelskiego, a po rozmaitych kraju przygodach prezesa rady stanu i ministrów Księstwa Warszawskiego i naczelnika edukacyi publicznej, do x. Kołłątaja podkanclerzego, do Tadeusza Kościuszki — żyłem w Lipsku jak w Polsce: z Polakami dla Polski. Przez takowe miłe i uczące obcowanie postępowałem w jednej godzinie więcej w języku, niżeli przez półroczną mozolną pracę nad Trocem, Voglem i Monetą. Niemcewicz odczytywał ze mną tłumaczenia moje *Powrotu posła*, objaśniając miejsca dla mnie ciemne nietylko co do języka, ale jeszcze więcej co do rzeczy i stosunków krajowych. Przekład ten wkrótce z druku wyszedł...

Później otaczali Lindego moralną i materyalną opieką Ignacy i Stanisław Potoccy. Ignacy doradził mu wyjazd z burzliwej wtedy Warszawy, dokąd na krótko zawitał, do Wiednia, gdzie znalazł „spokojne schronienie przy boku i w domu gorliwego o nauki, zwłaszcza ojczyste, Józefa hr. Ossolińskiego". Zajmował się tam urządzeniem jego biblioteki (późniejsze Ossolineum lwowskie), zdobywaniem dla niej książek, oraz robieniem „wypisów do swojego dzieła", t. j. słownika.

W r. 1803 przybył powtórnie do Warszawy na zaproszenie rządu pruskiego, do urządzenia tam i prowadzenia nowego liceum.

Pomimo przeszkód, z nowego stanowiska wypływających, w r. 1806 rozpoczął druk słownika, a 1807 wyszedł jego tom I-szy z drukarni pijarskiej. Dla bliższego dozoru i pośpiechu w pracy urządził następnie zecernię i drukarnię słownika we własnem mieszkaniu w pałacu Saskim (przy liceum) i tam wydał tomy II—V; tom VI, ostatni, był drukowany do połowy tamże, „u autora", a w drugiej połowie „w drukarni X. X. pijarów", gdzie dzieło było zaczęte; wyszedł ów tom w roku 1814-ym.

Linde umarł w Warszawie d. 8-go sierpnia 1847 r. Pochowano go na cmentarzu ewangelicko-augsburskim, niedaleko wejścia, na lewo od kaplicy; przed kilku laty spoczęła przy nim jego córka, p. Ludwika Gorecka.

Pamiętniki Stanisława Augusta. Profesor rz.-kat. akademii duchownej w Petersburgu, znakomity historyk, X. Michał Godlewski uczynił niebywałe odkrycie, mające dla historyi naszej znaczenie pierwszorzędne. Oto w archiwum państwowem odnalazł pamiętniki króla Stanisława Augusta... Rękopis zawarty jest w ośmiu tomach i pisany w języku francuskim przez sekretarza królewskiego. Jednakże na marginesach sam król własnoręcznie czynił liczne uwagi i dopiski, oraz wstawki i dodatki. Pamiętniki sięgają czasów przybycia stolnika litewskiego nad Newę i podają drobiazgowo wszystkie ważniejsze szczegóły nietylko z jego życia, ale i całej polityki ówczesnej polsko-rosyjskiej, a nadto wyświetlają stosunek nieszczęsnego króla do Katarzyny, którą nazywa on „jedyną miłością swoją..." Dużo tam faktów o duchowieństwie, o stosunkach społecznych Polski, dużo o polityce wewnętrznej i zewnętrznej.

Polemika polska w piśmie francuskiem. Na szpaltach paryskiego dziennika *Gil Blas* pojawił się przed paru tygodniami artykuł ks. Leona Radziwiłła, w którym autor twierdził, że ruch separatystyczny białorusinów jest zasłużoną klęską Polaków, którzy rzekomo odznaczali się zawsze instynktami zaborczemi, uciskali obce narodowości, bronili przywilejów klasowych i byli sługami reakcyi społecznej. Przeciw tej błędnej argumentacyi wystąpił z doskonałą odprawą p. Stanisław Skarżyński. Dowodzi on, że stosunek szlachty polskiej do ludu nie był wcale inny, jak stosunek szlachty francuskiej i niemieckiej do swych poddanych. To, co się działo w Polsce, działo się wszędzie, zanim prawa człowieka były ogłoszone. A jeżeli chodzi o bezprawia, to popełniali je również często baronowie niemieccy, szlachta francuska, magnaci litewscy, jak Polacy.

P. Skarżyński przypomina jednak, że w Polsce wcześniej, niż w innych krajach Europy, budziła się myśl o wielkiej reformie społecznej w duchu równouprawnienia wszystkich obywateli. Słynne *„neminem captivabimus nisi iure victum"* (tylko człowieka sądownie przekonanego o zbrodni można uwięzić), ogłoszone było już w Polsce przez Władysława Jagiełłę w roku 1443. Natomiast angielskie *„habeas corpus"* powstało dopiero w roku 1679. Nadto zwraca p. Skarżyński uwagę swego przeciwnika na dzieło Jana Ostroroga z roku 1460, zawierające te same idee, które w trzy wieki później ogłosił Montesquieu w swoim *„Esprit des lois"*.

Temperatura dnia 4 maja o godzinie 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +15, we Lwowie +12, w Tarnopolu +12, w Czerniowcach +10, w Wiedniu +11, w Salcburgu +10, w Gracu +8, w Pradze +14, w Tryeście +12, w Abbazyi +9, w Raguzie +13, w Budapeszcie +11, w Berlinie +11, w Hamburgu +12, w Monachium +11, w Zurychu +13, w Genewie +14, w Lugano +11, w Anglii +8, w Paryżu +11, w Biarritz +14, w Nizzy +12, w północnych Włoszech +12, we Florencyi +10, w Rzymie +12, w Neapolu +13, w Palermo +14, w Madrycie +12, w Sztokholmie +7, w Petersburgu +7, w Wilnie +6, w Warszawie +12, w Moskwie +10, w Kijowie +12, w Odessie +22, w Serajewie +8, w Belgradzie +11, w Bukareszcie +18, w Sofii +11, w Konstantynopolu +19, w Atenach +20. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 17 R. w poł. + 23 R. w cieniu, + 31 R. na słońcu. Bar. 769. Spada. Pogoda. Straszny upał.

Przy telefonie. (W kawiarni przy telefonie stoi jegomość ze słuchawką przy uchu. Obok czeka zniecierpliwiony kandydat do słuchawki):

— Panie, co to znaczy? Pół godziny pan słucha, a nic pan nie odpowiada.

— Tak, bo widzi pan, to moja żona mówi.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „Wesoła wdówka".— We środę „Tosca," opera Pucciniego.— We czwartek popołudniu „Sherlock Holmes," komedya Conana Doyla; wieczorem „Wesoła wdówka." W piątek po raz pierwszy „Osobna sypialnia," krotochwila w 3 aktach Piotra Veberra. — W sobotę popołudniu „Obrona Częstochowy," czyli „Przeor Paulinów," dramat historyczny Juliana z Poradowa; wieczorem „Wesoła wdówka". — W niedzielę popołudniu „Straszny dwór," opera Moniuszki, wieczorem „Juliusz Cezar" Szekspira. — W poniedziałek „Osobna sypialnia".

Repertuar teatru krakowskiego. We środę popołudniu „Moralność pani Dulskiej"; wieczorem „Beatrix Cenci" Słowackiego; we czwartek popołudniu „Wesele" Wyspiańskiego; wieczorem „Don Carlos" Schillera; w piątek „Halka" Moniuszki; w sobotę „Zażarty automobilista"; w niedzielę popołudniu „Radcy pana radcy" Bałuckiego; wieczorem „Zażarty automobilista".

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 maja. *Cyrk Liliputów*, najmniejsi ludzie świata, miniaturowe powoziki i najmniejsze konie. — *Les Cadets de Gascogne*, słynni paryscy śpiewacy uliczni. — *The 4 Parros*, fenomenalny akt atletyczny i zupełnie nowy program. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Z targów zbożowych.

Wiedeń 5 maja.

(Z). Na wszystkich międzynarodowych rynkach zbożowych zapanowało nerwowe usposobienie, a ceny zboża podlegają gwałtownym fluktuacyom. Ostatnimi dniami wszędzie poszły one w górę, gdyż zewsząd nadchodzą niepomyślne doniesienia o stanie zasiewów. Nietylko na Węgrzech skarżą się rolnicy, ale także w Rumunii i w Niemczech, w południowej Rosyi i w Ameryce północnej, gdzie w wielu okolicach spadły ostatnimi dniami śniegi. Na giełdzie nowojorskiej podniosła się cena pszenicy o 4 centy amerykańskie na buszlu, w Niemczech o 2 do 3 marek za tonnę (1000 kilo). W Rumunii skarżą się ziemianie nietylko na fatalne stosunki atmosferyczne, ale także na to, że niepodobna dostać dostatecznej liczby robotników rolnych. Jak zdenerwowanym jest targ zbożowy, o tem świadczy najlepiej ta okoliczność, że w ciągu dwóch dni podniosła się na targu budapesztańskim cena pszenicy na październik z 8·95 na 9 koron 70 halerzy za 50 kilogramów.

Prywatne doniesienia z Węgier przedstawiają stan zasiewów tamtejszych o wiele gorzej niż raporty urzędowe. Jedynie na prawym brzegu Dunaju i na Słowaczyźnie wyglądają one dobrze, zresztą zaś przeciętnie trzecią część ozimych zasiewów pszenicy musiano przeorać. W tych okolicach zaś, w których zasiewy nie wymarzły, są one rzadkie i zapowiadają słaby plon.

Stosunkowo o wiele lepiej niż na Węgrzech przedstawia się stan zasiewów w Austryi. W Czechach np. chwalą sobie stan zasiewów pszenicy, a w dolinie Morawy wyglądają łany pszeniczne nawet bardzo ładnie.

Gdyby teraz stosunki atmosferyczne trwale zmieniły się na lepsze, to bez wątpienia poprawiłby się także ogólny stan zasiewów w monarchii. Tego też wyczekują sfery handlowe z utęsknieniem.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: Pszenicy 106 wagonów, żyta 203, jęczmienia 289, owsa 88, kukurudzy 19. Soczewicy nie ma obecnie wcale na składach w Wiedniu.

Loco Wiedeń notowano dziś za 50 kilo następujące ceny:

Pszenica cisańska (78 do 82 kilo) 9·70 do 10·20, banatka (76 do 80 kilo) 9·35—9·80, słowacka (76 do 81 kilo) 9.00—9·40, dolnoaustryacka (75 do 79 kilo) 8·80—9·20.

Żyto słowackie (72 do 74 kilo) 7·80 do 8·—, rozmaite węgierskie (72 do 74 kilo) 7·70—7·90, austryackie (71 do 74 kilo) 7·75 do 8·—.

Jęczmień morawski 0·00—0·00, z doliny Morawy 7·40—7·80, słowacki 7·60—8·35, ze stacyi nad środkowym Dunajem 00·0—0·00, północno-węgierski loco stacya 0·00—0·00, cisański loco stacya 6·40—6·80, jęczmień na paszę 6·60—7·—.

Kukurudza węgierska 6·50—6·70, Cinquantin 7·00—7·40.

Owies węgierski średnie gatunki 8·30 do 8·50, prima 8·45—8·85.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Wiedeń. Trybunał kasacyjny rozpatrywał wczoraj zażalenie nieważności zarówno strony skarżącej, jak oskarżonej, wniesione z powodu wyroku w procesie o oszczerstwo, wytoczonem przez profesora dr. Bujwida przeciw jego byłemu asystentowi, Klemensiewiczowi. Jak wiadomo, na podstawie werdyktu przysięgłych p. Klemensiewicz został skazany na 140 koron, albo 14 dni aresztu. Profesor Bujwid wniósł także odwołanie od niskiego wymiaru kary. Po wysłuchaniu wywodów zastępcy dr. Bujwida, dr. Gertlera, i zastępcy p. Klemensiewicza, dr. Kahanego, trybunał odrzucił oba zażalenia nieważności, natomiast uwzględnił odwołanie od niskiego wymiaru kary i podwyższył ją p. Klemensiewiczowi na miesiąc aresztu.

Kalkuta. Niepokoje w Indyach przybierają w niektórych miejscowościach groźne rozmiary i zwracają się przeciw Europejczykom. Rząd przygotowany jest na powstanie tubylców. 70.000 wojska angielskiego stoi pod bronią; porozdzielano je po rozmaitych okolicach. Profesorom i słuchaczom uniwersytetu tutejszego zakazano brania udziału w agitacyi politycznej. Ruch między tubylcami zwraca się także przeciw misyonarzom, którzy już ponieśli znaczne szkody.

Londyn. Do dzienników tutejszych donoszą z Tangeru, że wybuchła tam rewolucya przeciw sułtanowi.

Marakesk. Ludność obwołała Hasiza sułtanem. Wzburzony tłum uwolnił wszystkie osoby aresztowane z powodu zamordowania dra Mauchaumpa i wydalonemu gubernatorowi przywrócił urząd. Dotychczasowego sułtana zawiadomiono, że go lud więcej nie uznaje.

Petersburg. Oba dni świąt minęły w całej Rosyi zupełnie spokojnie.

(Depesze popołudniowe).

Cieszyn. Na posiedzeniu Macierzy szkolnej dla księstwa cieszyńskiego mecenas Osuchowski z Warszawy złożył imieniem Królestwa Polskiego dar 30.000 koron na rzecz Macierzy i na rozwój dalszej jej działalności. Zebrani entuzyastycznie przyjęli ofiarę. Uchwalono też według projektu p. Osuchowskiego nowy statut Macierzy, wprowadzający w życie decentralizacyę tej instytucyi.

Lublin. Onegdaj w pobliżu magistratu dwaj robotnicy opuścili bombę. Wybuch jej zabił jednego z nich, drugiemu oderwał rękę.

Ekaterynosław. W Aleksandrowsku w czasie nabożeństwa wtargnęli do cerkwi więziennej bandyci, zabili starszego zarządcę więzienia i zranili 3 dozorców. W zamieszaniu jakie potem wynikło zbiegło 13 więźniów, w tej liczbie zabójca inżyniera Wasiliewa. W cerkwi znaleziono bombę. Dwóch bandytów ujęto.

Petersburg. Arcybiskup X. Popiel otrzymał od cara order Aleksandra Newskiego.

Warszawa. Generał-gubernator skazał na wygnanie z Królestwa na czas trwania stanu wojennego pięciu nauczycieli ludowych z Mławy i powiatu mławskiego za „spolszczenie podwładnych im szkół ludowych".

Sztokholm. Socyaliści rosyjscy, którzy wczoraj bawili w Malmö, prosili o zezwolenie na odbycie tam kongresu. Rząd szwedzki dał odpowiedź odmowną. Wtedy oni wyjechali z Malmo do Danii.

Kopenhaga. Socyaliści rosyjscy zamierzali udać się do Anglii, ale duńskie Towarzystwo żeglugi odmówiło przewiezienia ich; wobec tego rozpoczęli rokowania z innymi właścicielami statków o wynajęcie parowca, któryby przewiózł ich do Anglii.

HOTEL EUROPEJSKI.
Lwów — Plac Maryacki
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 8 maja. W. hr. Jabłonowska z Zagwoździa. L. br. Brückman z Monasterzec. H. Christiani z Dembicy. W. Piotrowski z Krakowa. E. Pawlikowska z Rohatyna. P. Żarska z Krakowa. E. Obertyński z Udnowa. A. Reiss z Jasła. S. Żuk Skarszewski z Żukowa. Dr. A. Hofmokl z Lahodowa. Dr. J. Landesberg z Tarnopola. P. Barańska z Łukawicy. J. Słamowa z Zamostu. P. Łobosiowa z Taurowa. J. Koblipa z Wiednia. S. Grabowski z Rosyi.

HOTEL FRANCUSKI.
Lwów — Plac Maryacki.
Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina delikatesy.

Przyjechali dnia 7 maja. J. hr. Potocki z Rymanowa. J. Bilewicze z Mielnicy. T. Dubicki z Rosiatycz. W. Wiśniowski z Załoziec. J. Longard z Mostów wielkich. Z. Jakliński i Z. Sulikowski z Krakowa. G. Hagen z Kassel. J. Krzysztofowicz z Artasowa. E. Schüssel z Rohatyna. A. Hoffmann z Badenu. N. Bendel ze Złoczowa. M. Zipper, K. Melzer, S. Beckmann, S. Rosenfeld, J. Wirl i S. Mayer z Wiednia. N. Skulicz z Rohatyna. J. Zwiernicki z Zwiernika. E. Heinemann z Braunau. S. Brzozowski z Sanoka.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 7 maja.

Marki 117.72, renta majowa 98·70, węgierska renta koronowa 94·25, akcye: austr. zakł. kredyt. 667·00, węg. zakł. kred. 773·50, anglobanku 306·00, unionbanku 565·50, bankvereinu 546·75, landerbanku 448.00, kolei państw. 000·00, lombardy 104.00, akcye kolei Elbethal 434.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000·00, alpiny 603·50, Rima Muranyi 554·50. prag. T. żel. 2624·00, losy tureckie 193 00, ruble 251.75 Usposobienie: silne.

5% renta rosyjska na r. 1907 86.00.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40*,** 5.50*, 8,55, 9.45, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16,** 5 40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00,** 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20*,** 8.05, **2.25,** 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10 05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10 50*.
Z Tuchli: 8,51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*** 3 45*, **8.25,** 8.40, **2.45,** 6.15*, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17,** 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.03, **2.32,** 7.34*, 11 35*.
Do Czerniowiec: **2.51,** 6.10, 9.20, **1.55,** 10.40*
Do Stryja: **11.30*.**
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6 30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4 05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.36, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 3·25, 5·30 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10 05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·35 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9 25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10 10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9·40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł) 2 28, 3·45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12·41 popołudniu; i (od 1/6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9·05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8 34 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł codziennie), 9 15 przedpołud. i 3·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2·10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

35)

KOBIETA ZASAD.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

Ostry zgrzyt nagle przeciął powietrze, wrota świątyni otworzyły się z hałasem, i wrzawa przyciszyła się do szmeru, pełnego uwielbienia, podziwu i strachu. Ręce Tarwina ściągnęły cugle mimowolnie, i z niepokojem pochylił się naprzód. Bicie bębna mięszało się z odgłosem dzwonków, dym kadzideł płynął ku górze i osłaniał wejście lekką mgłą błękitną.

Nakoniec w głębi ukazał się książę, sam jeden, bez orszaku; na chwilę nieruchomy stanął pod portykiem z ręką na szabli, oświetlony blaskiem pochodni... Twarz jego była zielonawoblada, ale na turbanie błyszczały dyamenty i wiły się wieńcem zielonym szmaragdy. Oczy miał zaczerwienione i zapadłe, usta nawpół otwarte i bezbarwne. Litość jednak Tarwina nad zmęczonem dzieckiem w tej chwili inne stłumiło uczucie: serce uderzyło mu mocno, gwałtownie — na piersiach księcia jaśniał wspaniały naszyjnik — tak, naszyjnik, zwany Naulahka!

Wątpić o tem nie mógł. To nie on, Tarwin, widział klejnot drogocenny: to wielkie, pełne blasku oczy naszyjnika zdawały się spoglądać nań ciekawie. Patrzały i jaśniały różowe rubiny, ciepły fiolet amesystów, chłodny lazur szafirów i czysty dyament o blasku ognistym. Ale zaćmiewał to wszystko kamień, umieszczony pośrodku, nad wielkim szmaragdem — olbrzymi czarny dyament, czarniejszy od smoły piekielnej, i ziejący gorętszym ogniem, niż otchłań potępienia.

Jaśniejący naszyjnik na ramionach chłopca gasił blaskiem gwiazdy na sklepieniu, zmieniał światło pochodni na plamy brudno-żółtawe i ćmił blask złota, na którym spoczywał.

Tarwin nie myślał, nie miał czasu myśleć, oceniać i rozważać, ujrzał tylko rzeczywistość, która przestała dla niego być marą, ale w tej samej chwili zabrzmiały znów dzwonki, książę wszedł w głąb świątyni, i zamknięto za nim podwoje.

XV.

Z płonącą twarzą skierował się Tarwin w stronę, gdzie miał się odbyć bankiet. Więc nakoniec widział naszyjnik!... Skarb ten istniał rzeczywiście, nie był mitem... Tak, teraz mieć go będzie, zabierze go z sobą, pani Mutrie ozdobi nim swą piękną szyję, którą każe tak zręcznie podziwiać, a linia Colorado-Kalifornia przetnie Topaz bez żadnej kwestyi. I to on ocali miasto, on mu da przyszłość! Za powrotem przyjaciele wyprzęgną mu konie z powozu i własnemi rękami zawiozą go w aleję Pensylwanii, a działy gruntów w biurze sprzedawać się będą, jak bochenki chleba co rano.

Dla takiego rezultatu warto zatamować rzekę, grać sto razy w „pachisi“ i przebyć tysiące kilometrów na wozie, zaprzężonym w woły. Pijąc zdrowie Kunwara na publicznym bankiecie, przyrzekł sobie walczyć odważnie i wytrwale, choćby miał spędzić tutaj całe lato.

W ostatnich czasach jego powodzenie pod każdym względem wiele ucierpiało, ale teraz, kiedy prawie dotknął przedmiotu swych najgorętszych pragnień, pewny był wygranej.

Nazajutrz jednak obudził się znów ze zwątpieniem; niepokonane trudności zdawały się piętrzyć przed nim coraz wyżej i wyżej, i zadawał sobie pytanie: w czem miały źródło wczorajsze różowe nadzieje? Widział naszyjnik, ale drzwi świątyni tak prędko zasłoniły go przed jego wzrokiem. Czy istniał naprawdę ten bajeczny naszyjnik?... Czy go tylko złudzenie zmysłów nie uwiodło?

Gdy tak rozmyślał, znalazł się, sam nie wiedząc, kiedy i w jaki sposób, na drodze do miasta. Nie wiedział prawie, że wyszedł z hotelu, sam instynkt go poprowadził.

Postanowienie powziął w jednej chwili: uda się do świątyni, gdzie widział naszyjnik — tam szukać go będzie.

Szczątki pochodni tliły się jeszcze na schodach pośród zdeptanych kwiatów, zmiażdżonych łakoci; zwiędłe wieńce chryzantem wisiały niedbale na olbrzymich ramionach kamiennego byka, którego czarna postać strzegła wejścia na dziedziniec. Tarwin zdjął z głowy kapelusz, upleciony z łyczka brzozowego, gdyż mimo wczesnej pory, upał stawał się nieznośny, i spoglądał w milczeniu na ślady uroczystości. Miasto spało jeszcze, spoczywało po uciechach i znużeniu dnia wczorajszego, a wrota świątyni były szeroko otwarte. Tarwin bez namysłu wszedł do środka, nie spotkawszy nikogo, ktoby go powstrzymał.

Posąg Iswara, bożka o czterech głowach, wznosił się pośrodku nawy, sczerniały od dymu kadzideł i okryty plamami tłuszczu. Tarwin z ciekawością obchodził statuę, spodziewając się znaleźć naszyjnik na potwornej szyi bóstwa. W głębi, w ciemności, rysowały się słabo kształty wielu innych bożków, z wieloma głowami i rękami, podnoszących ramiona, z wysuniętymi językami, wykrzywiających się sobie nawzajem. Ślady ofiar były też jeszcze widoczne, kolano jednej z bogiń okrywała krew świeżo przyschła. Pod wysokiem sklepieniem półokrągłem słychać było cichy szelest nietoperzy, gnieżdżących się wśród cieni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

†

Aleksander Kienzler

adjunkt inżynier Wydziału krajowego

po długich a ciężkich cierpieniach, zaopatrzony św. Sakramentami, zasnął w Panu dnia 7-go maja 1907 r., przeżywszy lat 27.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się we czwartek dnia 9. maja b. r., o godzinie 5. po południu z domu żałoby przy ul. Piekarskiej l. 59, na cmentarz Łyczakowski do grobowca familijnego, na który w smutku pozostała rodzina — krewnych, kolegów, przyjaciół i pobożnych chrześcian zaprasza.

Lwów, dnia 7 maja 1907.

"Concordia" A. Kurkowski.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.